JEAN BOULIER ▪ ADAM MARCZYŃSKI ▪ EDMUND OSMAŃCZYK ▪ ANTONI SŁONIMSKI ▪ STANISŁAW WYGODZKI



ODRODZENIE

TYGODNIK

Nakład: 40.000
Redakcja: Jaszyńskiego 1
Administracja: Jaszyńskiego 1
Cena 25 zł

Rok V — Warszawa, dnia 12 września 1948 r. — Nr 37 (198)

K. I. GAŁCZYŃSKI

Rysunki MARIANA BOGUSZA

NOWE WIERSZE

NA ŚMIERĆ ESTERINY, DEPORTOWANEJ PRZEZ HITLEROWCÓW WENECJANKI

I

Po twych warkoczach mógłbym wejść do nieba
i nagle co? Zasłona.
Serce uciekło ci jak mysz czerwona,
nawet nie rzekło „przebacz".

Pocóż mi było ciułać moją wiedzę?
Szarpię cię: — Powiedz, po co?
Świeczka dogasa. Brzask blisko. Siedzę
nad trupem twoim nocą.

Bo wskrzesić cię nie mogę. Rozumiesz?
Cień padł na twą urodę.
Nawet wody nie chcesz. Nie rozumiesz.
Z ciemnych rzek czerpiesz wodę.

Już gdzie indziej twoje oko błyska
błyskawicą szmaragdową,
kiedy idziesz przez podziemne grzęzawiska,
a trzciny szumią za tobą.

A tu za oknem bór jak udręka
wciąż rosnąca, komu potrzebna?
I ptaki stoją na sękach
nieruchome, głupie, jak z drewna.

II

Jeśli kiedy spotkam twoją matkę,
powiem, żem cię pogrzebał —
że nosiłaś uczesanie gładkie
i warkocze, co sfrunęły z nieba;

że rzuciłem raz kwiat konwalii
do twych stóp wąskich i bosych —
żeśmy, gnój ładując, rozprawiali
o Pietrzynce, pajacyku długonosym.

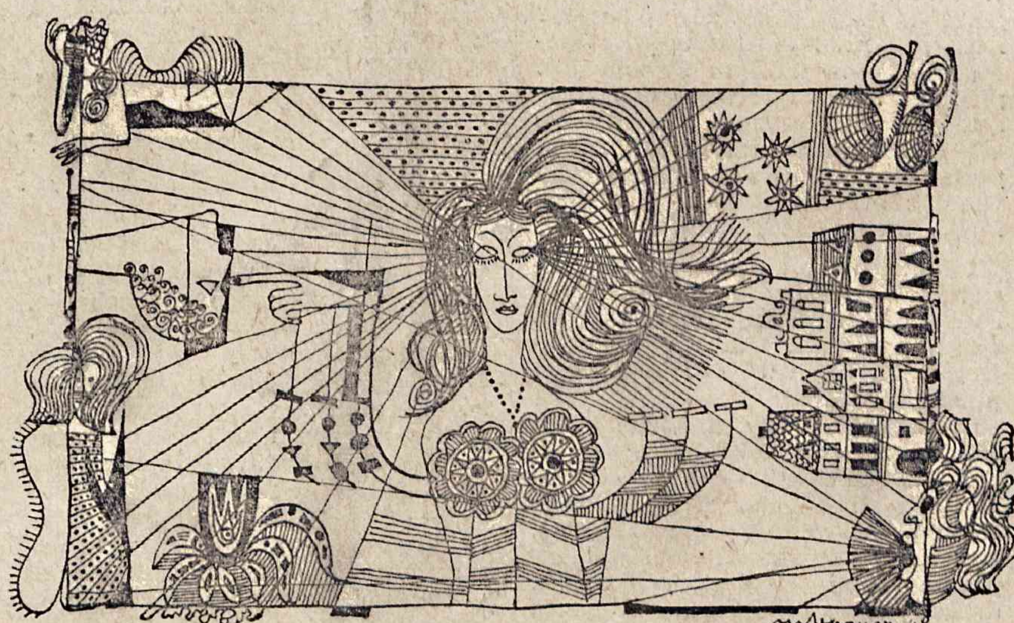
III

Ty się, lesie, ze mną pogrąż w rozpacz,
ty, dębino, brzezino, buczyno —
dziuro w bucie, ty się także rozpłacz
nad umarłą, nad piękną Esteriną!

Ptaszki szklane, drewniane jelenie,
fajansowe, skrzydlate zające,
pomagajcieże mi rzucać ziemię,
wstrętną ziemię na usta pachnące.

Dzień nadchodzi. Deszcz konary obmył.
Rzeka bólu płynie i bełkocze.
Nuże, braciszkowie, zakopmy
ręce, usta, oczy i warkocze.

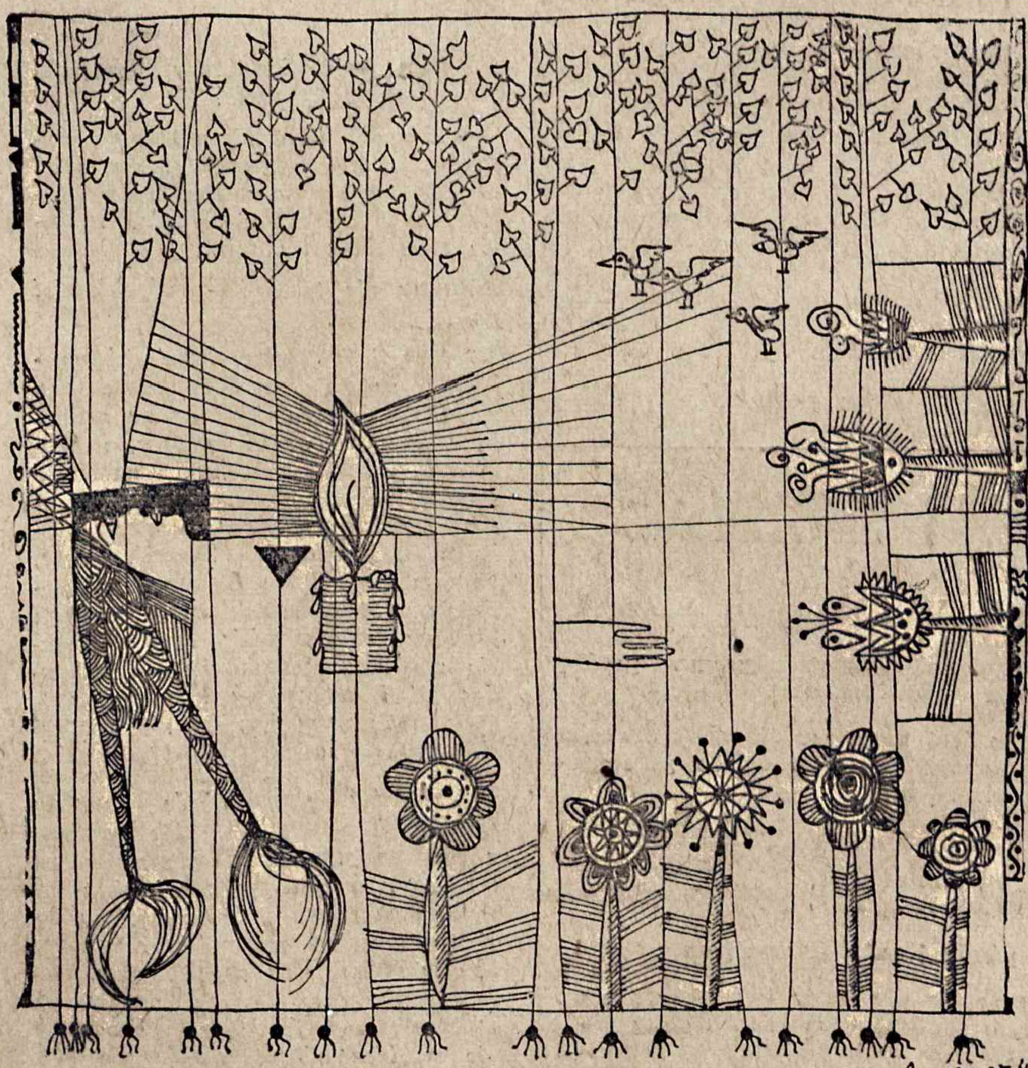




EPISTOŁA DO ZAKOCHANYCH

Do was dziś należy cały świat,
na trzy księżyce klnę się, moi drodzy —
o, świerszcz na moście kwili, a ten wiatr
oddech wasz z oddechem łączy nocy.

Tyle gwiazd zaczęło swe spadanie!
Jak mały bąk zza węgla sierpień patrzy.
Rzućcie kwiat, choćby najmniejszy dla niej.
Rzućcie kwiat, ta noc dziś dla was tańczy.



V E N U S

Żonie

1

Tobie grają wszystkie instrumenty,
ciebie wiatr na ziemię z nieba przeniósł
i ku oczom twym, po ścieżkach krętych
idę w dzień i w noc, o pani Venus.

2

Tłumacząca wszystkie sny w sennikach,
sekret wszystkich spotkań i zaręczyn
wszędzie jesteś: w kwiatach i w świecznikach,
palcem tkniesz: i tańczy świat i dźwięczy.

3

Po jarmarkach, zadymionych placach
też przechodzisz, śmiejąc się i kwitnąc,
ciągle cień twój odchodzi i wraca,
w ręku chustkę trzymając błękitną.

4

Nawet ślepcy widzą cię nocami,
głusi słyszą, chorzy wznoszą głowy,
kiedy lekko stąpasz ulicami,
gdy sprowadza cię wiatr południowy.

5

Każdą ranę palec twój zabliźni,
każda sprawa będzie rozwikłana.
Z krzykiem biegną ku tobie mężczyźni
wylać gorzkie łzy na twych kolanach;

6

świece im zapalasz. Przez ogrody
wiedziesz ich, gdy śpią, nad złote rzeki
i codzienne, takie ciężkie schody
jakże im się znów wydają lekkie!

7

Wszystko zmienia się na twoje przyjście,
kiedy pierścień twój zaświeci nocą:
ptaki budzą się. I szumią liście.
I na niebie nowe gwiazdy wschodzą.

8

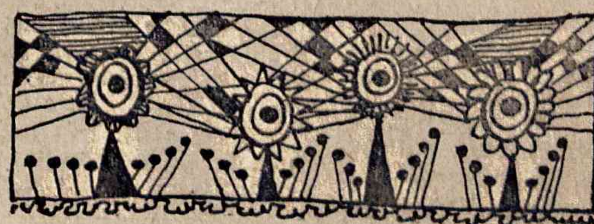
Więc dla ciebie, Venus, tron w szkarłatach,
rzeźba, wiersz, gramofonowa płyta
i ten dźwięk na wszystkich mostach świata
zakochanych, siedmiostrunnych gitar.

9

To dla ciebie, Venus, na twą chwałę
pory roku idą rząd za rzędem:
wiosen szum, zim plecy białe,
letnie góry i trąbki jesienne.

10

Bo ty jesteś ta, która w nas mieszka
i prowadzi nas jak marsz weselny;
bo ty jesteś śpiewająca ścieżka,
krzyk ostatni i zachwyt śmiertelny.



KS. JEAN BOULIER

Chrześcijaństwo w obronie pokoju



Ks. Jean Boulier — prof. prawa międzynarodowego w Instytucie Katolickim w Paryżu

Zabierając głos na tym kongresie, występuję jako kapłan katolicki, oczywiście nie obdarzony żadną misją czy poleceniami (jakiegokolwiek rodzaju); w każdym jednak razie pewien, że spotkam w zgromadzeniu Waszym delegatów, którzy zdają sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką na siebie przejęli, zgadzając się pracować tutaj nad uwolnieniem ludzkości od koszmaru i okropności wojny i że wiedzą oni również do jakiego Mistrza, jakiej Ewangelii i jakiej Tradycji się przyznają.

W społeczeństwie ludzkim, podzielonym różnicami poglądów i wierzeń, pokój może być jedynie dziełem takiej myśli ludzkiej, która, aby stworzyć jedną społeczność ludzką bierze pod uwagę wszelkie ludzkie społeczności. Świat jest jeden, owszem, lecz powinien to być świat, gdzie spokojnie współżyją ludzie, których różnice wynikają z samej ich natury, lecz których zjednoczenie, o ile zrealizuje się kiedykolwiek, będzie dziełem rozumu, częściowym, powolnym, lecz, jak wszystkie dzieła rozumu, rozwijającym się stale.

Przedmiotem tego wystąpienia jest zestawienie myśli chrześcijańskiej, ściślej mówiąc myśli katolickiej, czyli myśli pozostającej pod kontrolą szczególnie czujnego autorytetu — z tezą, którą wczoraj rozwijał przed nami Marcel Prenant ze swadą, którą mogliście państwo ocenić, jak również z całym swym autorytetem człowieka nauki — tezą współpracy, a nie przeciwstawności postępu technicznego, postępu społecznego i postępu moralnego.

Jeśli zastanowimy się nad warunkami, w jakich objawił się światu chrystianizm i w jakich nastąpiło pierwotne jego rozpowszechnienie, stwierdzimy, że postęp chrystianizmu związany był z postępem społecznym, ponieważ **pokój rzymski** (pax romana), który był warunkiem tego rozszerzania się, zakładał, że Morze Śródziemne zostanie uwolnione od flotylli pirackich, a dokonał tego Pompejusz, oraz że utworzy się w czasach **imperium** Augusta owa federacja miast, w której ludzie wolni uczyli się obywatelskiego znaczenia braterstwa, zrazu miejscowego tylko, lecz zwolna rozszerzanego na tych wszystkich, którzy szczycili się imieniem Rzymianina. Co do postępu moralnego wystarczy wymówić nazwę stoicyzmu, aby wskrzesić całą wielkość duszy starożytnych, którą pozdrawiał Tertulian mówiąc o niej, iż była ona „naturaliter christiana“ *). I nawet postępy techniki przyczyniły się sprawie owej religii, ponieważ społeczna jedność cesarstwa mogła zostać zrealizowana jedynie dzięki wyższości technicznej legionów czuwających u granic, które narażone były na ataki barbarzyńców — i ponieważ — informuje nas o tym Celsjusz, obruszając się na to zresztą — właśnie wśród rzemieślników, w głębi kramów szewców, sprzedawców perfum czy też tkanin krzewiła się propaganda chrześcijańska, wśród owej klasy pracującej, znajdującej się na połowie drogi między dobrobytem a nędzą, tam gdzie chrystianizm od owych czasów znajdował swych najbardziej rzetelnych wyznawców i skąd zawsze dzwoniono na alarm, aby zreformować go w ciągu długich lat jego istnienia.

Lecz znajdujemy się w r. 1948 i proszą nas o określenie, w jaki sposób chrześcijanin może przyczynić się do postępu dzisiejszego społeczeństwa i jaka powinna być jego postawa wobec niebezpieczeństw, które temu postępowi zagrażają.

Myślę, że w społeczeństwie, które nigdy może dotąd nie dążyło tak usilnie do powszechnego rozwoju — poczuło bowiem teraz nagle, że ma w sobie po temu możliwości i to być może rozwoju bardzo szybkiego — chrześcijanin nie znajduje w swej wierze żadnych powodów do lęku.

„Poddajcie próbie wszystkie rzeczy, a zatrzymajcie co dobre“. Przy tym nie trzeba się śpieszyć z ogłoszeniem wyników ostatecznych doświadczenia i zła, na które nie ma lekarstwa, gdyż nie należy wyrywać kąkolu, lecz trzeba pozwolić mu rosnąć między dobrym ziarnem aż do żniwa, a przyśpieszać lub objawiać godziny tych żniw nikomu nie wolno. Pocóż gasić nawet tę dymiącą wiązkę, po cóż deptać nawet ów złamany krzak róży? „Kto nie jest przeciw wam — z wami jest“ — rzekł Mistrz uczniom swoim pragnącym z drżeniem zachować dla siebie monopol na dobro.

I dlatego chrystianizm nie zwalnia chrześcijanina od jego ludzkich obowiązków; chrześcijanin nie jest uciekinierem, powinien on zająć miejsce u boku swych braci na placu roboczym, gdzie cała ludzkość z mozołem wykuwa swój los. Właściwym jego powołaniem, które go wyróżnia, to zadanie głoszenia ludziom dobrej nowiny: Królestwo Boże jest tu, tuż pod ręką — zapewne w odległości czasu, lecz już w głębi ich serc; królestwo to jednak nie jest z tego świata.

I dlatego nie do chrześcijanina należy kreślenie planów przyszłego Miasta, w niczym nie powinien przeciwstawiać się socjologom, którzy ustalili lepszy plan produkcji i rozdziału dóbr. Poza kilkoma podstawowymi zasadami, wywodzącymi się z samego pojęcia sprawiedliwości, chrystianizm sam sobie i wysokiemu pojęciu swego zadania wyzwalania sił ducha zawdzięcza ów kryty zapał, którego pełna jest dusza człowieka wyzwolonego od spraw ziemskich. Obywatel chrześcijanin oddaje co jest cesarskiego cesarzowi: ową rozległą dziedzinę spraw dotyczących dóbr i życia każdej jednostki, którą społeczeństwo przejęło dla dobra wszystkich i której wszyscy członkowie jego są podporządkowani. Więź socjalna, dyscyplina socjalna, reglamentacja socjalna, jednym słowem wszelkie prawa społeczne mogą w większym lub mniejszym stopniu rządzić życiem chrześcijanina, grozić mu bardziej lub mniej ostrymi sankcjami, zamykać go w kręgu mniej lub więcej dokuczliwej kontroli — lecz chrześcijanin słucha praw nie tylko z bojaźni, lecz również z poczucia obowiązku, bowiem władza, która wydaje prawa, jest dlań uosobieniem woli jego Boga.



rys. J. Konarska

P. Blackman

Chrześcijanin powinien zatem być dobrym obywatelem współczesnego społeczeństwa. I rozumie się, że jeśli społeczeństwo to jest komunistyczne będzie on ze wszystkich sił współpracował z ustrojem socjalistycznym, jaki mu przedstawiono, z jakim ma możność legalnie współpracować w fabryce, czy przedsiębiorstwie rolniczym, a nawet, wyższych jeszcze instancjach, w których wydaje się zarządzenia.

Lecz jeśli społeczeństwo to jest burżuazyjne, jakże może chrześcijanin przyjąć jego prawo podstawowe, to któremu w końcu ustępują zawsze wszystkie inne: **róbcie pieniądze**, lub, jak mówił Guizot: **wzbogacajcie się?** „Nie możecie dwom panom służyć, nie możecie służyć Bogu i mamonie“. Dla chrześcijanina jedynym prawdziwym bezbożnikiem jest czciciel pieniądza. W sercu, w którym panuje Bóg, jakże mógłby panować pieniądz? Lecz ponieważ to burżuazyjne społeczeństwo, w którym królem jest pieniądz nazywa siebie demokratycznym, chrześcijanin posługiwać się będzie wszelkimi przywilejami, jakie tylko mu są zaofiarowane, aby walczyć przeciw jarzmu pieniądza i jego niebezpieczeństwu.

I niech nikt nie mówi, że miłosierdzie wystarczy na określenie obowiązków chrześcijanina. Sto lat temu w r. 1848, Ozanam, propagujący w świecie ruch dobroczynności wobec biedaków, działający pod patronatem św. Wincentego, określił jednocześnie dokładne jego granice. „Miłosierdzie — mówi on — leje oliwę i wino na rany nieszczęśnika ograbionego przez zbójców, lecz rzeczą sprawiedliwości jest zapobiec takim napaściom“. Owym nieszczęśnikiem ograbionym przez zbójców był według Ozanama, proletariusz, robotnik z fabryki; w tym samym czasie Karol Marks analizował działanie przemocy, dzięki której robotnik był nieustannie pozbawiony owoców swej pracy w społeczeństwie opartym wyłącznie na zysku tj. opanowanym przez kapitalistów. Chrześcijanin nie czeka, aby ów nieszczęśnik został ograbiony, aby wtedy dopiero miłosiernie schylić się nad nim; chrześcijanin żąda sprawiedliwości, pragnie, aby ustał wyzysk i aby nadszedł czas socjalnego postępu. Iluż prawdziwych chrześcijan zginęło w walce o sprawiedliwość na barykadach w 1848 roku? I właśnie tym wiernym, których Cavaignac przyrzekł wydać na łup strzałom, mgr Affre, ich arcybiskup, niósł z narażeniem własnego życia, gałązkę oliwną.

A później nadszedł 18 Brumaire Ludwika Napoleona Bonaparte, pierwsze urzeczywistnienie faszyzmu i pierwsze połączenie się kościoła z reakcją. Od owych czasów znamy już i inne tego rodzaju wypadki. Lecz trzeba zwrócić uwagę na jedno, iż od tej chwili we Francji, w Niemczech, w Belgii, w Irlandii, we Włoszech czy w Stanach Zjednoczonych, ilekroć władza duchowna, przekraczając granice swych zadań duszpasterskich, pragnęła narzucić katolikom pewną postawę socjalną czy polityczną, która w istocie swej nie zależała od niej, spotykała się z postawą chrześcijan pełnych szacunku, lecz niezłomnie zdecydowanych na odpowiedź taką jak O'Connella: „Our faith from Rome but our politics from home“ — „Wiarę naszą czerpiemy z Rzymu, lecz politykę naszą z domu“, lub jak Spahna na kongresie centrum w r. 1913: „Tylko dotąd panowie, dotąd, ale nie dalej“.

Istotne rozróżnienie spraw duchowych i spraw doczesnych jest podstawową ideą, w imię której Fustel de Coulanges rozpoznawał charakterystyczny związek chrześcijanina z dziejami ludzkości, którą nieustannie kościół potwierdza. Ostatnim jej i nie najmniej zasłużonym potwierdzeniem był Ruch Oporu.

Ponieważ zaś wojna hitlerowska trwa, trwa i Opór. Oto co miałem do powiedzenia jako chrześcijanin na temat wewnętrznych niebezpieczeństw zagrażających postępowi społecznemu.

Jeśli zaś chodzi o niebezpieczeństwa zewnętrzne, oto jak ujmuję obecną sytuację. Rosja wykrwawiła się mocno w wojnie, która jej została narzucona i która, mimo poprzedzających ją, dość machiavelistycznych zresztą pertraktacji, z góry była planowana jako wojna agresywna i wobec tego była zbrodnią międzynarodową. Wspólne zwycięstwo i nasze wyzwolenie kosztowały Rosję miliony poległych. Chce ona teraz dźwignąć się z ruin i opatrzyć swe rany. Nie chce natomiast poświęcić znacznej części swego budżetu na wydatki związane z wojną, wie bowiem, że byłoby to ze szkodą dla jej ludności, tak ciężko dotkniętej, która do tej pory nie odzyskała jeszcze poziomu swego, bardzo skromnego zresztą. życia przedwojennego. Rosja kilkakroć oświadczała przez usta Stalina, że dwa różne systemy ekonomiczne mogą wspólnie istnieć na świecie, jeśli ich pokojowe współzawodnictwo i współpraca ich we wszystkich dziedzinach umożliwią ludzkości szybką odbudowę i podniesienie się z ruin wojennych, oraz uczestniczenie w rozwoju postępu.

Skąd więc idzie niebezpieczeństwo? Dlaczego ów pokojowy program wydaje się chimeryczny? Wiecie to dobrze. I wiecie również na skutek jakiego sztucznego fabrykowania opinii możliwe jest utrzymywanie u milionów istnień ludzkich zamiast sądów politycznych rozumnych i krytycznych, jakiejś niemal histerycznej psychozy, jakiegoś panicznego lęku przed tłumem, Olbrzymem czy Mongołem XX wieku, człowiekiem trzymającym nóż w zębach.

„Niech wasze „tak“ oznacza tak, wasze „nie“, oznacza nie. W obliczu tego ogólnego spisku przeciwko prawdzie, wobec niebezpieczeństwa wojny, które ona w sobie kryje, wydaje mi się, że chrześcijanin może dać tylko jedną odpowiedź — „nie“.

Pozostaje nam jednak odpowiedź „tak“ światu, który pragnie się odnaleźć, ludzkości, która w swym milionowym pochodzie znajduje się dopiero na starcie. Uwolniła się już ona od cywilizacji, których ruiny wyznaczają historię. Chrześcijanin zaś ma coś lepszego do roboty niż szukać wśród zmarłych Tego, który znajduje się pomiędzy żyjącymi. Cywilizacja średniowieczna umarła. Cywilizacja, która nastąpiła po niej, przedłuża na naszych oczach swą agonię. U schyłku cesarstwa rzymskiego nadzieja chrześcijańska wyrosła z krwi męczenników i z łez świętych. A przecież chrześcijanin zawsze nosi w sercu tę samą nadzieję. „Jeśli ludzkość trwać będzie jeszcze 20 tysięcy lat, my jesteśmy pierwszymi chrześcijanami“*) I tak jak oni odpowiadamy „tak“ owej nadziei.

Wrocław, dn. 26.VIII.48

tłum. **M. W.**

---

*) wyraż. teolog. — „z natury chrześcijańska“.

*) François Mauriac.

Głos uczonych

Oświadczenia przesłane na kongres wrocławski

JOSEPH NEEDHAM

Dr Joseph Needham, FRS, lektor biochemii na uniwersytecie w Cambridge specjalny doradca naukowy i dawniejszy dyrektor sekcji Nauk Przyrodniczych UNESCO.

Jest, według mego przekonania, obowiązkiem każdego uczonego, naukowca i artysty żyjącego w świecie dzisiejszym, robić wszystko co możliwe, aby przyśpieszyć sprawę pokoju i międzynarodowego zrozumienia. Kardynalnym błędem intelektualistów obecnej doby — rodzajem drugiej „zdrady klerków“—byłoby przyjęcie pesymistycznego poglądu, że trzeciej wojny nie da się uniknąć. Nic w historii nie usprawiedliwia takiego przekonania i poddając się temu pesymizmowi intelektualista nie tylko pozwala się ograniczać w swoich przywilejach, którymi jest wykazanie, że międzynarodowa współpraca jest możliwa, ale równocześnie staje się narzędziem sił reakcji, która nie chce światowego pokoju.

Paląca potrzeba zastosowania nauki i techniki raczej dla użytku pokoju niż wojny jest komunałem, który stał się beznadziejny i irytujący dla samych uczonych, większość ich bowiem nie wie, jak ten gorąco upragniony cel osiągnąć. W międzyczasie wojenne zastosowanie wiedzy napotyka na intensywne i nigdy niespotykane poparcie we wszystkich najpotężniejszych krajach. Obecnie coraz szersze dziedziny wiedzy ulegają tajnym ograniczeniom nie tylko jeśli idzie o badania z zakresu przemysłu, lecz technologii wojskowej. Wpływając na politycznych kierowników, aby uczynili wszystko co możliwe dla zmniejszenia istniejących politycznych napięć, zadaniem dla naukowców byłoby związać uwagę ogółu z faktem, że zgodnie z ustalonymi danymi o wzroście ludności, najbardziej naglącą potrzebą jest zwiększenie produkcji żywności i rozwinięcie wszelkich źródeł energii (zarówno tradycyjnej jak atomowej). Nawet jeżeli uda się uniknąć wojny świat będzie musiał stawić czoła ciężkiemu ryzyku braku żywności i głodu w okresie nadchodzącego półwiecza. Nie trzeba chyba podkreślać na jakie cierpienia będą narażeni zarówno zwycięzcy jak i zwyciężeni, jeżeli nie uda się tego uniknąć. Ludzie nauki i opinia publiczna powinni wołać, aby poszukiwania naukowe skupiały się na zagadnieniu zaopatrzenia raczej, niż na zagadnieniach związanych z wojną. Zbliżająca się Międzynarodowa Konferencja Narodów Zjednoczonych o Przechowywaniu Zasobów oraz Międzynarodowy Kongres na temat Przyrostu Ludności i Zasobów Świata (odbywające się w tym samym czasie co kongres wrocławski) powinny dostarczyć mnóstwa materiału informacyjnego.

Przykład ten jest typowy dla jednego z największych ruchów naszych czasów, mianowicie organizacji międzynarodowej współpracy w zakresie technologii i nauki. Struktura Narodów Zjednoczonych, łącznie z wszystkimi swoimi cennymi odgałęzieniami specjalizacyjnymi, jest niedostatecznie znana i niedoceniana przez ogół mieszkańców większości krajów. W krajach zachodnich, na przykład, prasa nie podkreśliła należycie lub całkiem pominęła milczeniem fakt, że ZSRR ratyfikował Konstytucję Światowej Organizacji Zdrowia przed Stanami Zjednoczonymi. Również mało znaną rzeczą jest, że ZSRR bierze jak najbardziej czynny udział w Międzynarodowej Organizacji Engineering Standards i że zaprosił, aby następne generalne zebranie Międzynarodowej Unii Astronomicznej odbyło się w Związku Radzieckim. Współpraca poprzez narodowe granice jest konkretnym planem pracy dla ogólnego dobra rodzaju ludzkiego jest jednym z najbardziej obiecujących objawów naszych czasów i jedną z najprostszych dróg do pokoju i wolności.

Życzę wszelkiego powodzenia kongresowi wrocławskiemu i jestem pewny, że wydane na nim rezolucje i oświadczenia będą miały silny i dobroczynny efekt w opinii świata.

Joseph Needham

E. M. FORSTER

Miałem nadzieję, że uda mi się wziąć udział w kongresie wrocławskim. Bardzo żałuję, że nie mogłem nań przyjechać. Z pełną sympatią odnoszę się do jego wysiłków ustalenia intelektualnej współpracy.

W obecnym stanie rozbicia świata intelektualiści są często wyśmiewani i oczywiście trudno, aby mogli wiele zdziałać. Mogą jednak i powinni spotykać się ze sobą, celem omawiania wzajemnych trudności i nadziei. Nawet jeżeli nie od razu zyskają zrozumienie mogą okazać dobrą wolę. Przede wszystkim zaś mogą wzbudzić w sobie dumę i wiarę ze swojej najszczytniejszej misji. Sama Historia po wielokroć wykazała bowiem, że oni są nieuznawanymi prawodawcami przyszłości.

Życzę Kongresowi powodzenia pod każdym względem.

E. M. Forster

TELEGRAMY NA KONGRES WROCŁAWSKI

G. B. SHAW

największy pisarz żyjący Anglii, znakomity dramaturg na prośbę o apel do Kongresu odpowiedział:

„Nigdy nie wysyłam orędzi. To jest moja ostateczna decyzja. Albert Einstein powie na temat pokoju wszystko to, co ja mógłbym powiedzieć w orędziu. Orędzia są nudne“.

G. B. S.

COMPTON MACKENZIE

Człon. Król. Tow., wybitny pisarz i autor dramatyczny:

Jest mi niewypowiedzianie przykro, że nie mogę być obecnym na tym kongresie, gdzie dane by mi było spotkać tych ludzi dobrej woli, którzy nie lękając się postępowych ruchów społecznych, pragną ponad wszystko ocalić pokój i pozwolić, aby duch naszych czasów objawił się w swej właściwej postaci. Modlę się, aby wpływ tego spotkania rozszedł się daleko i szeroko, aby przyniósł uspokojenie, nadzieję i wzajemne zrozumienie wciąż jeszcze rozdartej Europie.

Winni jesteśmy głęboką wdzięczność narodowi polskiemu, który umożliwił ludziom dobrej woli to oto spotkanie w obronie pokoju i choć nie dane mi jest radować się tą szczodrobliwą gościnnością osobiście, czuję się całym sercem gościem narodu polskiego, któremu za tę jego gościnność składam najgorętsze podziękowania.

Pozdrawiam kongres i proszę Boga, aby błogosławił jego poczynaniom.

ANTONI SŁONIMSKI

Rozmowy o kongresie

Pewien mój Sceptyczny Przyjaciel powiedział po kongresie:

— No cóż, jakoś nic z tego nie wyszło. Zjechali się, nagadali, a świat dalej gotuje się do wojny. Takie kongresy intelektualistów, to tylko mydlenie oczu sobie i innym.

Pragnę nie tylko jemu odpowiedzieć na to pytanie.

Jeśli mój Sceptyczny Przyjaciel oczekiwał, że po kongresie wrocławskim, zaraz nazajutrz, nastąpi ogólne rozbrojenie, jeśli sądził, że politycy, kapitaliści i podżegacze wojenni wzruszeni stylem Iwaszkiewicza, przestraszeni gwałtownością Fadiejewa, poruszeni spokojną argumentacją Modzelewskiego, porwani oratorstwem Erenburga, wzniosłością Stapeldona, ewolucjonizmem Huxleya, szlachetnością Bendy, wreszcie zmęczeni Shalasińskim — zawstydzą się i zaprzestaną knowań wojennych, to istotnie kongres nie osiągnął zamierzonego celu.

Sceptyczny stosunek do kongresu wrocławskiego wypływa, jak widzimy, z prostego niezrozumienia możliwości i celów tego kongresu, jak i wielu innych manifestacji pokrewnych. Byłoby zbyt wielką już naiwnością oczekiwać, aby w świecie nam współczesnym, głos najświetniejszego choćby gremium intelektualistów wpłynąć mógł bezpośrednio na bieg historii, na decyzję polityków. Ale jeśli określimy granice i możliwości takich kongresów manifestacyjnych, uznać będziemy musieli, że kongres wrocławski był o g r o m n y m, n a d s p o d z i e w a n y m s u k c e s e m.

Po raz pierwszy od czasu wojny, w polskim mieście zebrało się około czterystu wybitnych przedstawicieli nauki i sztuki, aby zademonstrować swą niezłomną wolę utrwalenia pokoju. Przyjechali do Polski zza oceanów, z krajów wielkich i małych przedstawiciele ras i narodów całego niemal świata, aby dać odprawę podżegaczom wojennym. Po raz pierwszy od czasu wojny spotkali się intelektualiści Zachodu z uczonymi i pisarzami Związku Radzieckiego. Kongres był wolną trybuną, terenem swobodnego ścierania się poglądów. Mówili komuniści i katolicy, liberałowie i socjaliści. Na trybunę wchodzili nie politycy i przedstawiciele rządów, ale uczeni, pisarze i artyści. Osobliwe to było audytorium i osobliwi to byli mówcy. Trzeba bowiem pamiętać, że głos pisarza, którego książki rozchodzą się w setkach tysięcy egzemplarzy, głos uczonego o światowej sławie, którego słuchają wszyscy inni uczeni świata, dociera dalej od doraźnych deklaracji zawodowych dyplomatów.



rys. M. Rudnicki

Jean Felix Tchikaya

Kongres wrocławski nie wpłynie bezpośrednio na zmianę sytuacji międzynarodowej, ale już dziś wiemy, że utrudni w wielu krajach robotę podżegaczy wojennych. Kongres wrocławski nie utrwalił stosunków kulturalnych między Wschodem i Zachodem, ale pokazał i dowiódł doświadczalnie, że mimo wszelkich różnic politycznych i ekonomicznych taki kontakt jest możliwy.

Kongres wrocławski osiągnął wynik niemal jednomyślny. Ogromną większością głosów, po dyskusji, w której brali udział przedstawiciele różnych kierunków politycznych, różnych wiar i różnych ideologii potępił wojnę i potępił garstkę pożegaczy wojennych. Głosami mówców z wszystkich stron świata nazwał ich po imieniu.

W rocznicę krwawego najazdu na ziemię polską, z miast zburzonych straszliwie, okaleczonych, pożartych ogniem obłędnej nienawiści, z kraju, w którym słońce przez sześć lat zakryte było dymami krematoriów, poszedł na świat głos ludzki setek najlepszych synów tej ziemi.

Prości ludzie całego świata, ludzie dobrej woli, którzy dźwigają z pyłu i prochu zniszczenia domy swoje, ci ludzie, którzy z troską i lękiem patrzą w niebo, nadsłuchując znów warkotu samolotów, ludzie, którzy wzrok przenoszą z nagłówków pism na niedorosłych synów, na dzieci, żony i matki powinni usłyszeć ten głos idący z Polski.

Jeśli ten głos doda im choć odrobinę otuchy, jeśli utwierdzi ich wiarę w człowieka, jeśli umocni ich w walce, lub choćby tylko przypomni, że w obliczu wrogich sił reakcji, nienawiści i fanatyzmu nie są samotni, że z nimi z szerokimi masami ludowymi związali się w walce o pokój uczeni i pisarze całego świata — cel kongresu wrocławskiego będzie osiągnięty.

Antoni Słonimski

JERZY PUTRAMENT

RUCIANY I WĘGORZEWO



Port w Giżycku

ZAGADKA Nr 1

Pewnego niedzielnego ranka biegniemy galopem przez nadbrzeżne zarośla. Statek stoi jeszcze, ale potrąbuje. Zasapani siadamy z uczuciem ulgi: przyszliśmy w ostatniej minucie. Przedłuża się ta ostatnia do kwadransa i półgodziny. W takich wypadkach zwykły człowiek sądzi, że w grę wchodzą wielkie, nieodparte przyczyny ekonomiczno-polityczne. Może motor się zepsuł, może nie starczyło benzyny, może napięcie międzynarodowe w jakiś sposób sparaliżowało normalny ruch statków na trasie Giżycko — Ruciany. Dopiero przy odbiciu tajemnica się wyjaśnia. Lokalna „Żegluga" wprowadziła prawo, że bileter sprzedaje na statku bilety, poczem schodzi na ląd i statek może ruszyć. Brak drobnych i niejasność uprawnień ulgowych powoduje zawsze przedłużenie tej czynności o kilkanaście czy kilkadziesiąt minut. Rzucamy hipotezę, że „Żegluga" nie chce ryzykować konieczności wyrzucania w pełnym jeziorze tych, którzy np. odmówią wykupienia biletów. Hipoteza okazuje się nietrafna, już w pięć minut po odbiciu inny bileter kontynuuje swój proceder wobec spóźnionych. Zagadka regularnych opóźnień pozostaje nierozwiązana.

DYM, STUDENCI I MURY

Ranek jest chmurny, trochę deszczyk, trochę dym z komina spędzają z pokładu mniej wytrzymałych. Tylko para zakochanych studentów kucnęła koło komina, otuliła się wspólnym nieprzemakalniakiem, dzieląc się bułkami z kiełbasą i całusami. Rybitwy z tyłu pokrzykują. Z prawa czarno-zielone lasy Bogaczewa. Dzikie kaczki od niechcenia ślizgają się o kilkanaście metrów od statku, mniej obżarte odlatują. Nury, jak sama nazwa wskazuje, nurkują. Ich forma sportowa okazuje się na poziomie naszych olimpijczyków: dłużej niż minuta — dwie nie wytrzymują pod wodą, wychylają się znowu i, przerażone, że huczący koszmar nie przeminął powtarzają swoją ucieczkę. Nie wiem, czy regulamin sportowy dopuszcza takie machinacje.

Przejście w Saitę, trzciny zwężają cieśninę do stu metrów. Rydzewo, kościołek cmentarny na przylądku, domy pochowane w cieniu olbrzymich lip i klonów. Dobijamy do rozchybotanej kładki, czarniawy, wiecznie nadęty majtek wyskakuje, mocuje się chwilę z ogromnym kadłubem statku, jak z nieposłuszną krową, wreszcie nagłym targnięciem zmusza go do spokoju. Wysiada zakonnica, witana przez trzy istoty płci żeńskiej typu „ćwok".

POKORNE TRZCINY I OSTROŻNE LILIE

Boje czerwone i białe. Kulabryk — ongiś most, dziś trochę rudego żelaziwa. Jagodne, pełne szuwarów, kaczek i wiatru. Zaczynam żałować, że nie wziąłem płaszcza. Pierwszy kanał, też w stu procentach zatrzciniony. Otwiera go napis, zabraniający żeglugi szybciej niż 4 km. na godz. Chodzi o fale, które mogą podmywać brzeg. Jedziemy na oko z szybkością jakichś 10 km.

Trzciny zachowują się dziwacznie. Jeszcze zanim dotarła do nich choćby najmniejszą fala — zaczynają się pokotem kłaniać statkowi. Fala dopiero je prostuje, podrygują długo jeszcze po przejściu pani, która synkowi tłumaczy:

— Od razu widać, że jesteśmy u siebie, w Polsce. Nawet trzciny nam się kłaniają.

Jakiś kostyczny jegomość dorzuca:

— Jest w tym więcej racji niż pani sądzi. W żadnym innym kraju nie stawiało by się napisów o czterech kilometrach, po to, by jechać trzy razy szybciej.

Lilie wodne w tym wypadku zachowują się inaczej: przed statkiem zaczynają się chować, jakby jakaś ostrożna najada ciągnęła je za łodygi z obawy, by niesforni goście nie rzucili się je zrywać. Wyłażą potem, umorusane, zawstydzone pewnie swoim tchórzostwem.

KOTEK I DUDUŚ

Jezioro Kotek, nieduże, nudnawe, płytkie, wąsko wytyczone w poprzek bojami. Młody, włochatonogi farmaceuta Duduś nie bez dumy oświadcza: zjechaliśmy tu dwa razy żaglówką ze szlaku i dwa razy wleźliśmy na mieliznę. Jest w tej deklaracji spokojna pewność siebie, jaką daje bogate doświadczenie życiowe.

CO ZE ŚNIARDWAMI?

Na Taltowisku ogarnia nas popłoch i rozterka. Z mapy wynika, że szlak do Rucian nie przewiduje zahaczenia o Śniardwy. Jakiś dziesięcioletni chłopak o bladoniebieskich oczach, długiej głowie, dziwnym nietutejszym uśmiechu oświadcza nam absolutnie poprawną polszczyzną: w Mikołajkach można wziąć statek z Rynu na Pisz, ten przecina Śniardwy.

Chłopiec tak niepodobny do dzieci polskich (i niemieckich zresztą) pytam go — autochton, po polsku nauczył się już po wojnie. Na statku jest w ogóle pełno Mazurów. Poznać ich łatwo, jeśli rozmawiają między sobą, trudniej, jeśli rozmawiają z przybyszami. Mówią po polsku z akcentem czasem niedosłyszalnym. Między sobą mówią po niemiecku. Kobiety, zwłaszcza w średnim wieku i starszym, mają w wyrazie twarzy, w sposobie ubierania się nijakość, typową dla Niemiek. Chłopcy, dziś w wieku poborowym cuchną jeszcze drylem hitlerjugend. Starsi mężczyźni, dzieci, młode dziewczęta nie różnią się niczym zezwnętrznym od powojennych osadników tutejszych.

Wyskusja wre. Większość głosuje za przesiadką. Tylko pan P. też farmaceuta, wysuwa trzecią hipotezę: wysiąść w Mikołajkach i spędzić popołudnie u miejscowego mistrza pigularstwa, który ma rzekomo jakieś świetne nalewki. Propozycja upada, wobec oświadczenia kapitana statku, że w drodze powrotnej zawinie się na pół godziny do Śniardwy.

Talty, długie, obramione pagórkami jezioro. Deszcz ustał, jest chłodnawo, chmury się dyferencjują, z przodu się przecierają, z tyłu grożą ulewą. Młoda adeptka rolnictwa uspakaja nas twierdząc, że to nie nimbusy.

SIELAWOWY KRÓL

Otóż i Mikołajki, wieża kościelna w starodrzewiu, most kolejowy, otwarty ledwo przed tygodniem, drugi most. Para studentów najadła się i wycałowała. Wstają, ściskając ręce, tuląc się do siebie, może i podziwiają krajobraz, odbity w oczach tego drugiego.

Za drugim mostem „sielawowy król", duży, blaszany potwór rybiego kształtu, z koroną na głowie, na pół zanurzony w jeziorze, które tutaj zwęziło się i wygląda na szeroką rzekę.

Nadęty majtek cumuje. Od razu, ledwo pierwszy pasażer wszedł na pomost, dopada nas upał, przyczajony, okazało się, w zamglonym niebie. Zaczynam żałować, że wziąłem marynarkę. Stoimy godzinę, starczy tego na jeden rzut oka?

Starczyło na dwa, ale nie więcej. Zaraz za przystanią nieduży, trójkątny placyk. Zatarty szyld: Otto Wietzorek. W obdrapanej ruderze dom wypoczynkowy „Filmu Polskiego", naprzeciw kiosk „Czytelnika" z lemoniadą, ale bez gazet, dalej gospoda i restauracja „Samopomocy". Duży, ciemnawy lokal, typu starych karczem. Wita nas napis: „Zabrania się mówić po niemiecku". — Kundo, daj głębszy — woła typowy osadnik do typowej autochtonki. Oto i pierwsze spotkanie z historycznym imieniem Kunegunda.

Jeszcze kilka piekarń i sklepów tejże „Samopomocy". Wydaje się, że w podziale dzielnicowym Polski teren ten przypadł jej w udziale.

Drugi rzut wzdłuż brzegu, ogrodów, pełnych jabłek i ogórków (długie jak w Trokach). Zmurszała, zczerniała pływalnia. Opuszczone, brzydkie ceglane domki i chlewiki, rozmiarami i krojem przypominają miasteczko Hel. Wychodzę na główną, jedyną prawie ulicę, powyżej placyku.

MIKOŁAJKI SĄ...

Tu podobieństwo do Trok chwyta za gardło. Cóż z tego, że tam domki drewniane. Jak na Karaimszczyźnie jest w tym daleka przeszłość, nie pałacowa, zamkowa czy kościelna. Chłopska, mieszczańska, jak w Krzemieńcu, Zamościu, Sandomierzu. Jeszcze nie doszli Mikołajczanie, którzy tę ulicę wznosili do ohydy „pruskiego muru", do nudy ceglanej czerwonych kubików. Domki z wysokimi gankami, ulica trawą zarosła, nieuregulowana, ocieniona klonami i brzózkami, wzgórza na lewo, jeziora na prawo, dyktujące wydłużony kształt osiedla, nawet ów placyk — oto i przesłanki, którymi podmuruję sąd może zanadto pompatyczny: Mikołajki są cudem.

Oczywiście, oczywiście. Ogromna wieża na wzgórzu — elewator? — przekreśla ten uroczy pejzaż bzdurną, kubistyczną krechą. Oczywiście, tu i ówdzie nie brak ohydnych domów, budowanych w końcu ubiegłego wieku przez zbogaconych łyków, nie brak innych oznak pędu ku ideałowi „współczesnego miasta". Ale ogólny ton, ogólny charakter Mikołajek to przecież jakiś wiek XVIII, lub wcześniejszy, i to właśnie ta skromność, domowość, przytulność tyle wdzięku tej mieścinię nadaje.

ZAGADKA Nr 2

Wielkie i sprzeczne siły światowe dotarły i targają również Mikołajkami. Na przeciwnym, zalesionym brzegu jeziora od trzech lat rozbija letnie obozowisko Warszawska Szkoła Nauk Politycznych.

Oprócz wakacyjnych rozrywek zajmują się oni akcją repolonizacyjną wśród dzieci mazurskich. Załóżmy, że jest to lokalny ośrodek wielkiego, światowego obozu demokratycznego i antyimperialistycznego. Gdzie się mieści więc tutejszy ośrodek obozu imperialistycznego i antydemokratycznego?

Na tej samej uroczej ulicy, trochę za (a może trochę przed...) kościołem brzydkim i niepokaźnym, jest domek zdaleka oznaczony czerwoną flagą z białym krzyżem. Zafrapowany tym, że nie mogę przypomnieć, które to państwo flagę tę sobie obrało, podchodzę bliżej. Gromadka dzieci, rozmawiających po niemiecku. Jakaś starsza pani wyjrzała z okna. Co to za dom? Nie zrozumiała. Z inną, widocznie lepiej obeznaną z językiem „kraju urzędowania" wychodzą na ganek. Powtarzam pytanie. Pewnie moja mina była wymowniejsza. Odpowiedziały, ale z kolei ja nic nie zrozumiałem. Jedno tylko słowo, Dania.



...Kanał, też w stu procentach utrzciniony

Przytułek dla mazurskich sierot, utrzymywany przez duńskie towarzystwo charytatywne? Czy może co innego? Nie mam pojęcia. Zagadka, którą czytelnikom przedkładam jest dosyć prosta. Kto prędzej? Studenci z SNP zrepolonizują, czy owa instytucja zdepolonizuje. Która z tych sił zwycięży, zważywszy, że studenci siedzą przez dwa miesiące, tamte zaś przez dwanaście. I co będzie, jeśli nagle się okaże, że w sercu Mazurów znalazła się wysepka — hm, duńska?

BEŁDAŃSKIE

Jedźmy dalej. Statek z Rynu na Pisz sobie poszedł. Inny, którym ścigała nas wycieczka geografów, poszedł także. Para studentów znikła. Upał pozostał.

Mikołajki wdzięcznie wygięły się przed statkiem. Obóz studencki w sosnowym lesie. Z lewa przez dziewięć sekund długa perspektywa czegoś nieskończonego: Śniardwy. Igiełka w sercu: czy kapitan w drodze powrotnej dotrzyma słowa? Wjeżdżamy w jezioro Bełdańskie.

Jest najładniejsze — pocztówkowo — ze wszystkich. Gęsta ściana wysokopiennego lasu sosnowego otoczyła go ze wszystkich stron. Ani polanki. Jesteśmy w puszczy piskiej, chyba największym kompleksie leśnym dzisiejszej Polski. Przedostatni przystanek — Wiersba (na niemieckiej mapie) i jeszcze kilkanaście kilometrów jeziora.

Pierwsza śluza jest też ostatnim przystankiem. Oznajmiają nam: Ruciany. Dwa domy i las.

PLUĆ TYLKO...

Ruszamy drogą przez wspaniały bór sosnowy, poprzedzani przez hufiec dziewczyn z jakimś drągalem na czele wywodzących pracowicie: „a jak mi odpowiesz nie pragnę cię.. ". Do Rucian ma być półtora kilometra. Okazuje się, jeszcze mniej. Tylko, że Rucian nie ma.

Były, na pewno. Pewnie też będą. Na razie parę domków przeważnie pustych, trochę zgliszcz, resztki wielkiego tartaku. Upał, chce się pić. Galopem rzucamy się do samotnej budki z szyldem: „Sodowiarnia".

— Woda sodowa?

— Nie ma.

— Piwo?

— Nie ma.

Jest za to napis na ścianie: pluć tylko do spluwaczki. Wściekły pytam: gdzie spluwaczka? Spluwaczki też nie ma.

HARCERSTWO A UPAŁ

Chodzimy z kwadrans, szukając wody. Dworzec w tym osiedlu zdziczałych bzów i złocieni wygląda tak sennie, że nie bez zdziwienia dostrzegam w poczekalni dryblasowatego harcerza, który usiłuje na jednym palcu utrzymać pionowo jakiś drąg. Dziwne reakcje w młodzieży wywołuje upał, brak wody i harcerzenie. Poza nim nie ma nic, nawet afiszów „Święta morza".

— Pompa! — krzyczy adeptka rolnictwa. Rzeczywiście, za czystą fasadą dworca rdzewieje spokojnie zadomowiona, ręczna pompa. Targamy minutę, bez skutku. Badam okoliczne kamienie. Ich zrudziałość wyraźnie wskazuje na niedawną obecność wody. Pompujemy ciągle, ponaglani bezlitosnym słońcem.

Po pięciu minutach zamiast wody ukazuje się zawiadowca stacji.

— Pompa zepsuta.

— Jakto, tu są jeszcze ślady wilgoci!

— Zepsuła się właśnie wczoraj.

Ale wzamian dał nam wskazówkę: tędy, przez tory, przez las, jest jeszcze jeden kiosk. Gdyśmy już biegli, bez skutku pokrzykiwał z tyłu:

— Chodzenie przez tory wzbronione, winni...

BOREJSZA PO RAZ DRUGI

Kiosk był. Zgadnijcie, czyj? „Czytelnika"! Było piwo. Starsza pani, tutejszy wojewoda Borejszowy, zapytała nas nawet: zimne czy ciepłe. Dziwny dylemat, zważywszy trzydziestopięciostopnową temperaturę okolic zaciemnionych, świadczących wszakże o doskonałej szkole komercyjnej: wszystko dla klienta.

Były także lody, kiełbasa, keksy, landrynki, czekolada, marynowane śledzie. Z boczku, za ladą sterczało parę gazet. Opici piwem, ochłodzeni lodami przeżyliśmy parę minut błogostanu. Pani Z. oświadczyła z powagą i przekonaniem:

— Dopiero tutaj naprawdę oceniłam wielkość Borejszy. Z bliska i na codzień przeszkadza w tym jego sposób noszenia ubrań.

Uogólniłem ten sąd, rozwijając swoją hipotezę przyszłości Polski. Jej nowy kształt, podzielony wzdłuż i w poprzek między Centralą Węglową i „Czytelnika" zarysował się w Rucianach szczególnie wyraźnie. Trochę wolnych miejsc wypełnia taka „Samopomoc Chłopska", która w Mikołajkach np. zmonopolizowała piekarnie i gastronomię. Śliskie, niebezpieczne tereny porośnie „Społem". Przy cyrkach utrzyma się kultura i sztuka, jeśli oczywiście minister Dybowski nie popuści w swojej akcji upowszechniania kultury, Borejsza zaś nie otworzy w „Czytelniku" departamentu cyrkowego.

PIĘĆ KURKÓW

Ten świetlany obraz przerwał dopiero zegarek: pora. Ruszamy. Na dworcu w poczekalni nie ma już nawet harcerza. Jest tylko trochę chłodu i ciszy, jak w wiejskim kościołku. Nowe fale „wczasowiczów" biją o rafę „Sodowiarni" i z pianą wściekłości na ustach, opadają w przydrożny piach. Pocieszamy ich wieścią o „Czytelniku". Galopują przez tory.

Bór, malinowe podszycie. Znaleźliśmy pięć kurków. Nie chce mi się rzucać tak cennego łupu. Ale okazuje się, że Ministerstwo Aprowizacji więcej grzybów temu rewirowi leśnemu nie przydzieliło.

Statek stoi, niecierpliwi się. Geografowie obsiedli swój. Są zadowoleni z wakacyj. Dyskutują właśnie, jak najlepiej wytłumaczyć uczniowi trzeciej dawnej powszechnej różnicę między moreną denną i czołową.

TROSKA O CZŁOWIEKA

Nie do wiary, punkt trzecia trzydzieści statek odbija. Entuzjastyczna połowa mojej istoty odprawia uroczystą akademię: nie tak źle jest z tą „Żeglugą". Właśnie zakręcamy, gdy kapitan (ożże sternik), stary wilk — śródlądowy?— z rozpaczą macha ręką. Motor? Dziura w kadłubie? Urywam trzecie państwowo — twórcze przemówienie. Okazuje się, że sokole oko kapitana dostrzegło jakąś biegnącą paniusię: spóźniła się.

Zawracamy, dobijamy znowu. Paniusia dobiega. Krótka dyskusja, nie jest zdecydowana, jechać tym, czy owym, z geografami. Nim ostatecznie ją przekonano, nadbiegł zasapany drągal: na miłość boską, zaczekajcie, wycieczka. Rzeczywiście, hufiec dziewuch ciągnie z boru, śpiewają dalej to samo, doszły już do „hej, tam kule świszczą, tam bagnety błyszczą..."

ŚNIADWY A LA FOURCHETTE

W sumie przecież bez półgodziny się nie obeszło. Upał tym razem nie popuszcza, wiatr jest z tyłu, pęd statku go równoważy, mijamy Bełdańskie. Za Wierzbą w prawo zwrot: Śniardwy.

Olbrzymia tafla wody. Ożywione dyskusje — tam nie ma brzegu. Nie, jest, widzę go, za to bardziej na prawo... Parę wysp, które się poznaje tylko po ciemniejszej plamie na horyzoncie. Wiatr tu jest większy, chłodny i czysty, jak na morzu. Mała żaglówka, jak cielak na łące, miota się po falach. Stateczniejsza stanęła na kotwicy u samego wejścia na jezioro. Grupka opalonych studentów i studentek na pokładzie. Prawdopodobnie dyskutują nad najlepszym sposobem repolonizacyjnym. Duduś, który z farmaceutyczną częścią wyprawy znikł był w Rucianach, wyjaśnia teraz tę rezerwę jachtu wobec Śniardw: mielizny, kamienie. Tylko szlak wytyczony na Pisz. Gdzie indziej chyba kajaki. Spróbowaliśmy zboczyć trzy razy. Trzy razy na mieliźnie.

ŚNIARDWY NA MIGAWKĘ

Oto i koniec ze Śniardwami. Nieubłagany sternik zawraca. Nie trzeba się z nas nabijać, liznęliśmy trochę tego mazurskiego morza. Znam pewnego pana, który Śniardwy zobaczył w jeszcze gorszych warunkach.

Pan ten, zajmujący wysokie stanowisko w hierarchii państwowej, zapłonął też namiętnością ujrzenia Śniardw. Ale jego statek dotarł tylko do Mikołajek, dając pasażerom ledwo dwie godziny czasu. Oczywiście, na Śniardwy, zdecydował mój przyjaciel. Powiedzieli mu — to siedem kilometrów. Hejże na piechotę! Z całym towarzystwem przebiegli tę odległość. Niestety, zamiast tafli jeziornej ujrzeli las trzcinowy. Oczywiście, jego to nie załamało. Rozebrano się i do wody. Przez błoto, szlam, pijawki, ostre trzciny. Później wpław. Wydostali się przecież przez zarośla, płynąc ujrzeli, i zaraz z powrotem, biegiem do Mikołajek.

KWIATY Z MOSTÓW

Tu właśnie czekamy na statek z Piszu. Para studentów wróciła w humorach zmienionych. Już nie siedzą przy sobie. On czyta gazetę, ona jeszcze je. Ale jest w nich ociężała obojętność dosytu.

Wieczór nadchodzi. Kanały i jeziora biegną szybciej. Na mostach gromady dzieci rzucają nam na pokład bukiety leśnych i polnych kwiatów któryś rzuca im tabliczkę czekolady. Hufiec dziewczyn (przodownic zdrowia!) skończył z „Rozmarynem", śpiewa teraz „niejedna dziewczyna za wami poleci".

Wiatru nie ma, górny pokład oblepili pasażerowie, statek groźnie się przechyla. Sternik co chwila nawołuje do zejścia na dół, bez skutku. Młody milicjant, którego w biegu zabraliśmy z powrotem na którymś kanale, przychodzi też, podejrzliwie mi się przygląda. Czuję lęk jak za starych, dobrych czasów przedwojennych: jeszcze mnie wylegitymuje! Przybieram minę człowieka zachwyconego dzisiejszym stanem rzeczy, niewinnie patrzę mu w oczy. Nie wierzy.

POWRÓT

Wracają wszyscy, którzy wysiedli z rana. Zbieramy na pomościkach, kładkach, po prostu z łódek rybaków z płotkami, myśliwych z kaczkami, kobiety z dziećmi. W Rydzewie wsiada ta sama zakonnica i te same dziewoje typu „ćwok" ją odprowadzają. Jakby z powrotem zwijano taśmę filmową tego dnia, jakby go nie było wcale, bo nawet zorza jest tak samo po lewej i chmury na Lewentynie niskie i ciężkie, tylko zamiast kilkunastu kropel deszczu, teraz chmara dziwacznych, bezbronnych, białawych ni to komarów, ni to jętek uczepiła się statku, obsiadając głowy, plecy, ramiona. Jakby się nam przyśniła tylko ta wędrówka przez jeziora i trzciny, przez lasy, przez najpiękniejsze ze wszystkiego Mikołajki i jak sen powrotny będzie nas ścigała przypomnieniami.

Latarnia nie — morska płonie jasno nad Giżyckiem. Wieczór jest chmurny i duszny: Nadęty majtek ciągnie ku sobie statek, odbierają bilety, kłócą się.

MAMRY

Szlak węgorzewski oddzielony jest od ruciańskiego nieruchomym mostem kolejowym na kanale w Giżycku. Inny statek zabiera nas z improwizowanej przystani pod topolami, ale trwają te same ceregiele z biletami, ten sam nadęty majtek z kwadransowym spóźnieniem odcumowuje i kanał też jest podobny. Dopiero Mamry są inne. Jak wiadomo, dzierżą one wicemistrzostwo Polski (po Śniardwach) w konkurencji jeziornej.

Z małej zatoczki, gdzie ulokowała się przystań żeglarska PUKF wyjeżdżamy na pierwsze jezioro. Pełno tu wysp, porosłych wysokopiennym lasem dębowym i sosnowym. Bliższe miasta zniemczono (Grosse und kleine Werder), ale już dwa kilometry dalej wytrwały wyspy Sossnowi i Dombowa. Za tą ostatnią jezioro się nagle rozszerza, jest jaskrawo niebieskie, wiatr zachodni wywołał w nich gęsią skórkę, tu i ówdzie bieleją grzywacze. Kaczki, rybitwy i nury traktują statek z należnym lekceważeniem.

Brzegi zbiegają się na jakieś dwa kilometry. Ruiny hangarów lotniczych, mała osada, zalesione wzgórza. Drugi akt Mamr, jeszcze szerszy, fale się wydłużyły, trochę nawet huśtają. W lewo zostaje trzecia odnoga, dalsze dziesięć kilometrów wody i przybrzeżnych lasów. Z prawa maleńka wysepka, na sztabówce niemieckiej zaznaczona jest jako Fogankeninsel.

Nowa cieśnina, tym razem bardzo wąska, przecięta mostem z niedokończonym środkiem, w przyszłości wznoszonym czy obracanym. Gęste trzciny. Las podchodzi do przystani, wyłazi tu kupka myśliwych i rybaków.

Właściwe Mamry otwierają się zaraz przed nami. Długa, leśna wyspa z prawa. W lewo odnoga, nad którą stoi wieś Ogonki. Na horyzoncie wieża Węgorzewskiego kościoła.

Węgorapa jest przy jeziorze smutna. Płynie przez bagna, przypominają się poleskie torfowiska, te niskie, z olchą. Gaj brzózek za trzcinami, wysuszony na rudo: podobnoć jakieś owady. Miasto zaczyna się od serii zabawnych szop nad wodą: tu na zimę się kryją mamrzańskie jachty.

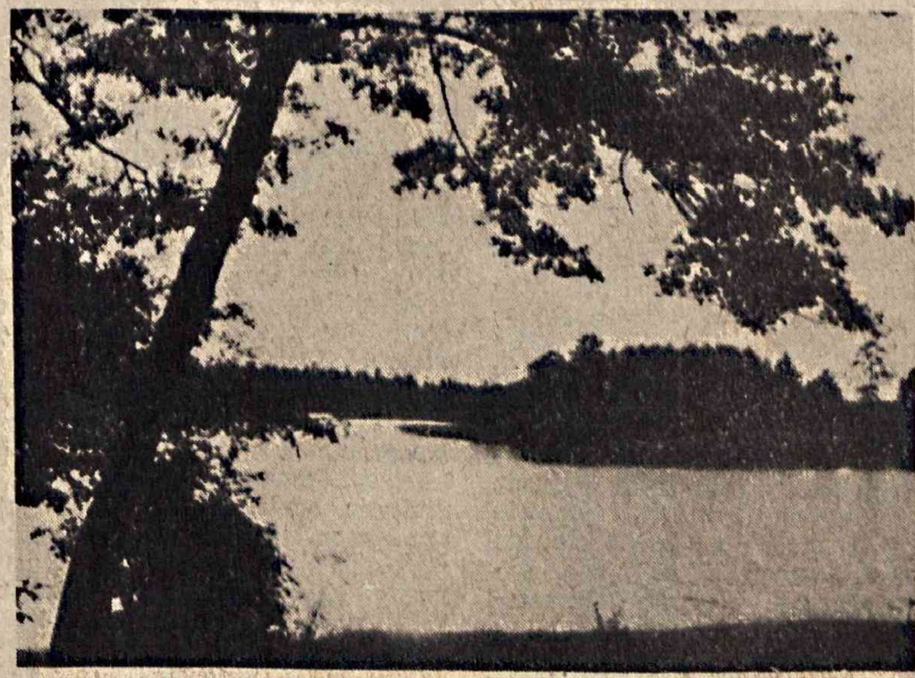
SPÓR O RUINĘ

Kanał się kończy w środku miasta. Wielka ruina czegoś, co wygląda na obszerną kamienicę czynszową. Dopiero później uświadamiają nas, że to historyczny zamek krzyżacki. Przy bliższym badaniu znajdujemy rzeczywiście jakieś małe okienka, przylepione wieżyczki, kamienne podpórki przy rogach. Ta ruina jeszcze jest zdolna wywoływać namiętności, o nią właśnie rozegrał się dramatyczny spór w tutejszej radzie miejskiej.

Dwa stronnictwa powstały ad hoc. Jedno, wsparte o suchą powagę prawa, inne, owiane chmurką ogólnokulturalną. Pierwszemu przewodzili sądownicy, drugiemu towarzystwo urbanistyczne. W głosowaniu Rada zachowała równowagę ducha, dzieląc głosy na dwie równe połowy, byle nikogo nie urazić.

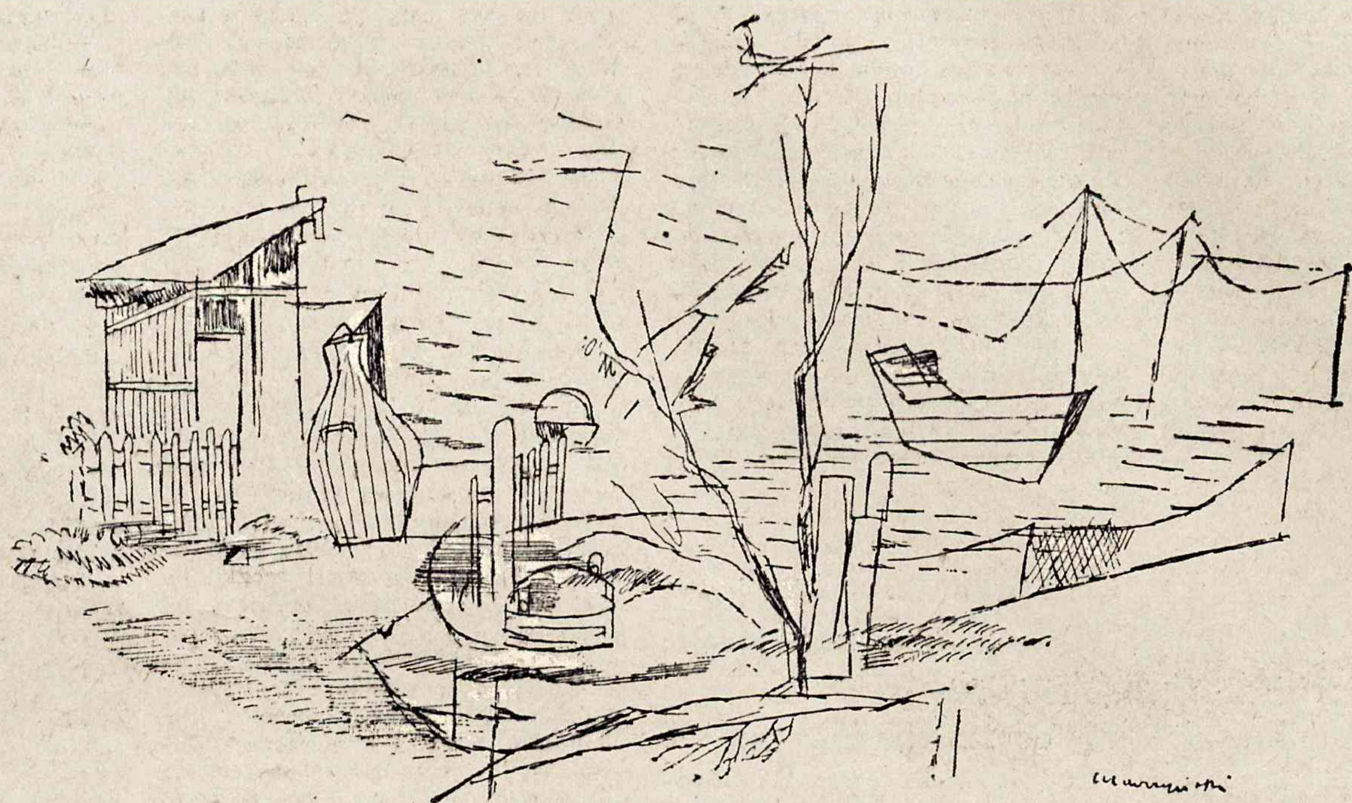
Spór powstał o przeznaczenie tego gmachu. Sądownicy wołali: więzienie, urbaniści — muzeum! Mimo równowagi głosów, rzekomo zwycięża zdrowy rozsądek, to znaczy urbaniści. Mogę ich zapewnić, że życzy im tego cała Polska.

(Dokończenie na str. 7-ej)

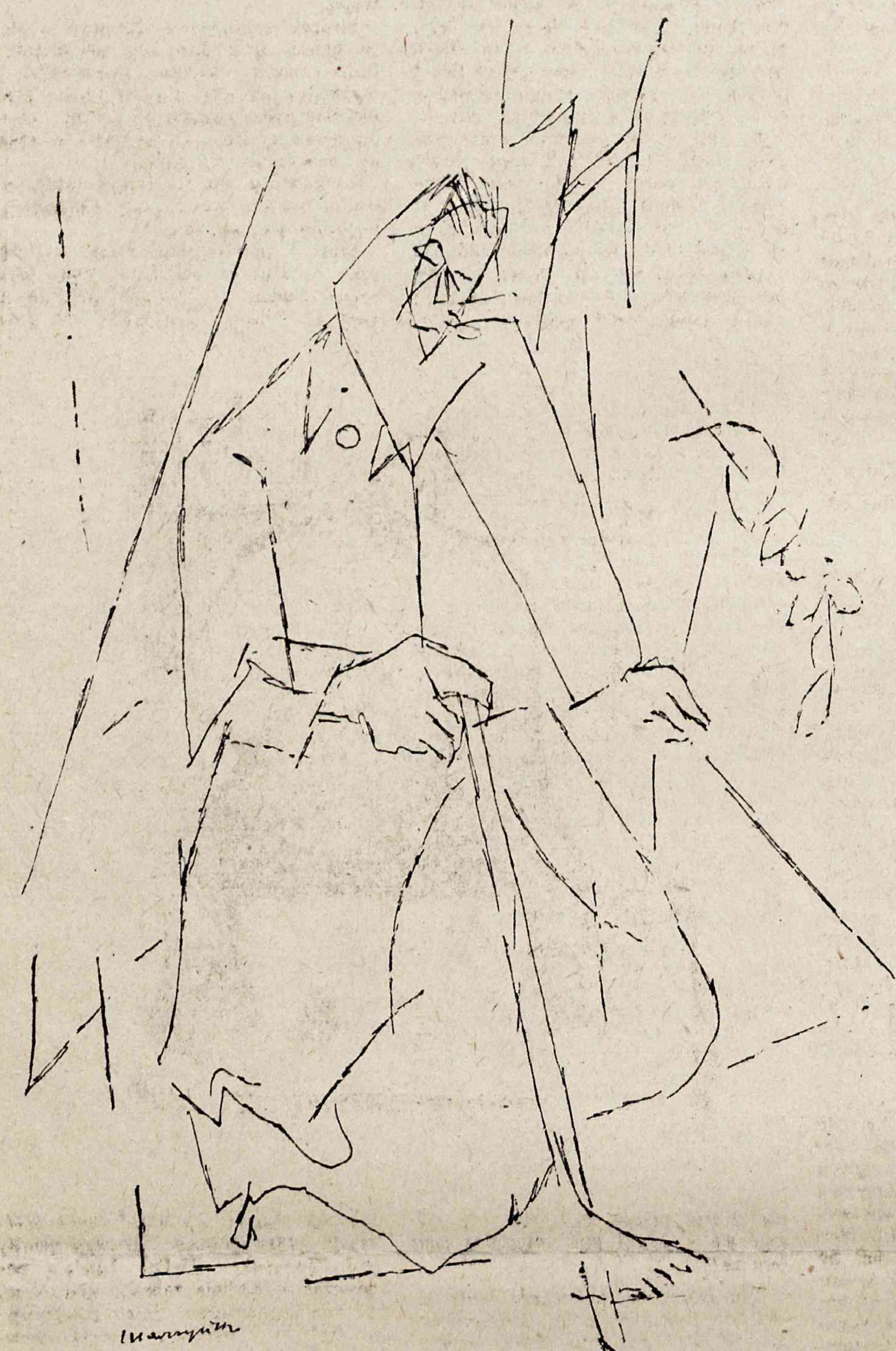


...Mamry są inne

RYSUNKI Z POMORZA ZACHODNIEGO ADAMA MARCZYŃSKIEGO



Port rybacki



Pastuch



Sieci

Listy z Niemiec

NAUKA NIEMIECKA

Berlin, we wrześniu 1948 r.

Proces uniewinniania byłych(?) hitlerowców, znany w świecie pod nazwą denacyfikacji, został właściwie już zakończony. Jeszcze toczą się sprawy w Sądach Apelacyjnych, ale to już rozprawy ostatnie, przeważnie polityków w rodzaju Schachta lub przemysłowców, gwałtownie potrzebnych do odbudowy Niemiec.

Ludzie sztuki, kultury i nauki, którzy w latach hitlerowskich byli współtowarzyszami partyjnymi swych mecenasów Hitlera, Goeringa i Goebbelsa zostali w olbrzymiej większości „uniewinnieni". Pewien obraz masowości ogólnych oczyszczeń dać tu może statystyka oficjalna strefy amerykańskiej: — na 911.661 osób podlegających „odhitlerzeniu", zostało uznanych za „bardzo obciążonych" — 1.284, „obciążonych" — 18.979, „w małym stopniu winnych" — 97.260, „niewinnych"—pozostało blisko 800.000. Kary dla pierwszych trzech grup wahały się od 10 lat obozu pracy do 1000 — marek grzywny. Nawet w osobnej grupie członków „zbrodniczych organizacji", a więc SS i Gestapo, sądy specjalne strefy amerykańskiej na 54.759 oskarżonych puściły wolno 26.516 SS-owców i gestapowców. Cóż więc dziwnego, że prezydent Izby Filmowej III Rzeszy Carl Froehlich i prezydent Izby Teatralnej III Rzeszy Paul Hartmann zostali uniewinnieni i znów zajmują stanowiska publiczne. Cóż więc dziwnego, że olbrzymia większość nazwisk ludzi sztuki, kultury i nauki powtarza się w prasie Niemiec okupowanych równie często, jak w prasie hitlerowskiej. Sędzia Trybunału Denacyfikacyjnego w Hamburgu uniewinniając jakiegoś poetę, powiedział: „Sąd uwzględnił historyczny fakt, że artyści nie będąc politykami reprezentują zwykle poglądy swoich mecenasów".

W 1945 roku zmienili się mecenasi, zmieniły się zatem i poglądy. Jakiż sąd niemiecki odważyłby się skazać za współpracę z Hitlerem głośnego kapitana Zeppelinów, Hugo Eckenera, skoro otrzymał on wizę amerykańską i stanowisko doradcy technicznego „Goodyear World Company"?

Polityka dawna została zamazana sprzecznymi zeznaniami świadków, wydrukowane ongi słowa adoracji dla Hitlera uznano za zręczne zamaskowanie się dla łatwiejszej roboty podziemnej". Niemiecki ruch oporu w procesach denacyfikacyjnych przybrał rozmiary wprost fantastyczne, tworząc w opinii niemieckiej coraz głębsze przekonanie, że istniał on naprawdę, i to właśnie w szeregach ludzi współpracujących z Hitlerem.

To nagłe uświadomienie sobie, że „przechytrzyło się" Hitlera, jest podstawą do coraz głośniejszej dumy i pomaga wydobyć się z depresji pierwszych powojennych lat. Zjawisko to szczególnie silnie występuje w szerokich kołach kulturalno-naukowych Niemiec Okupowanych. Te koła to jedna z najpotężniejszych w świecie organizacji sztuki, kultury i nauki. Lekceważyć tej organizacji i jej powiązań międzynarodowych nie wolno. Przez ostatnie lat siedemdziesiąt Niemcy zdobyli sobie w kulturalno-naukowym świecie kredyt, którego nie zachwiały bynajmniej lata hitlerowskie. Uczeni, pisarze, malarze niemieccy na emigracji potrafili podtrzymać tradycję, która ożyła w pełni z rokiem 1945.

W roku zeszłym, wygłaszając szereg wykładów o Niemczech i Polsce, na uniwersytetach i College'ach amerykańskich, miałem możność stwierdzić naocznie, jak szeroko rozciągają się wpływy niemieckich uniwersytetów, towarzystw naukowych i kulturalnych. W niejednej bibliotece uniwersyteckiej znalazłem komplety wydawnictw niemieckich ostatnich lat 40 — 50-ciu, aż po rok 1947. Polonica natomiast rzadkie, i co ważniejsze świadomie przez kogoś dekompletowane, zwłaszcza jeśli chodzi o wydawnictwa, dotyczące granicy Odra — Nyssa. Figurują w rejestrze książek nadesłanych, ale w rejestrze biblioteki ich nie ma. Nic dziwnego. Na trzech bodaj uczonych polskich, wykładających na uniwersytetach amerykańskich, wypadało bodaj stu Niemców w latach 1933 — 45, a obecnie jest ich co najmniej drugie tyle, nie licząc około tysiąca uczonych niemieckich, wywiezionych 1945 — 1948 do pracy laboratoryjnej do USA.

A zresztą ta przewaga nauki niemieckiej w świecie nie rozpoczyna się z rokiem 1933. Opracowując obecnie Leksykon Spraw Niemieckich, wyliczyłem, że w latach 1901 — 1947 Nagrodę Nobla otrzymało 224 osoby, z czego 44 Niemców, to jest 19,6% i 4 (3 właściwie, bo Curie-Skłodowska dwa razy) Polaków, to jest 1,7%. Przy czym Niemcy ilością nagród znajdują się wciąż na pierwszym miejscu przed USA — 37, W. Brytanią — 32 i Francją — 27.

W r. 1932 w Niemczech było ogółem szkół wyższych na poziomie uniwersyteckim 86 z 9.038 profesorami i docentami, oraz 56.911 szkół niższych i średnich z 246.700 nauczycielami.

W roku 1948 z 25 uniwersytetów pozostało 23: — Berlin, Braunsberg, Braunschweig, Bonn, Düsseldorf, Erlangen, Frankfurt nad Menem, Freiburg i. Br., Giessen, Göttingen, Greifswald, Hamburg, Halle a. d. S., Heidelberg, Jena, Kilonia, Kolonia, Marburg, Monachium, Monaster, Tübingen, Rostock i Würzburg. Uległy przymusowej likwidacji uniwersytety niemieckie w Królewcu i Wrocławiu.

W r. 1948 z 10 politechnik pozostało 9: — Akwizgran, Berlin, Brunświk, Darmstadt, Drezno, Hannower, Karlsruhe, Monachium i Stuttgart. Zlikwidowana została politechnika we Wrocławiu.

W roku 1948 z 41 innych szkół wyższych pozostało 39, mianowicie 12 teologicznych, 11 akademii sztuki, 10 muzyki, 4 handlowe, 3 pedagogiczne, 3 rolnicze, 2 weterynaryjne, 2 leśne i 2 górnicze. W porównaniu więc z r. 1932 Niemcy 1948 posiadają o 5 uczelni mniej, czyli ogółem 81 szkół wyższych. Dane dotyczące liczby profesorów i docentów nie są dotychczas pełne, zważywszy jednak zakończenie procesu „uniewinniania" i co za tym idzie przywracanie katedr b. hitlerowcom, należy przypuszczać, iż liczba 9.038 zmniejszyła się w poważnym stopniu tylko o liczbę uczonych, którzy po 1945 wyjechali za granicę i wynosi dziś około 8.000 osób. (Klasycznym przykładem „uniewinniania" może być prof. uniwersytetu monachijskiego, dr Karl d'Ester, dyrektor „Institut für Zeitungswissenschaft", członek NSDAP, usunięty w 1946, który „uniewinniony" przez sąd denacyfikacyjny wiosną 1947 roku, od jesieni tegoż roku wykłada nadal prasoznawstwo na uniwersytecie monachijskim).

W r. 1948 wychodzą już znowu prawie wszystkie czasopisma naukowe, a jest ich blisko czterysta, liczba zaś prac naukowych ogłaszanych drukiem stopniowo zajmuje tę samą ilość miejsca w „Deutsche National - Bibliographie" co przed wojną.

Z 81 wielkich bibliotek naukowych z 40 milionami książek, ocalało i jest już czynnych 73 z 32 milionami tomów. W statystyce tej uwzględnione są tylko biblioteki od 50 000 książek wzwyż, nie objęte natomiast są setki bibliotek mniejszych i zbiorów prywatnych.

W trzy lata po wojnie można ocenić, że straty naukowe Niemiec nie sięgają dwudziestu procent. Oznacza to, iż nauka niemiecka rozporządza nadal jednym z największych aparatów organizacyjnych w świecie, i nadal znajduje się w czołówce mocarstw.

W 1871 roku Bismarck powiedział, iż wygrał wojnę dzięki pruskim nauczycielem szkół powszechnych. W ówczesnej wojnie istotnie o zwycięstwach decydować mogły zaszczepione w szkołach patriotyzm i ofiarność żołnierska. W pierwszej i drugiej wojnie światowej decydował jednak w najwyższym stopniu czynnik trzeci: — wiedza. Nauka niemiecka w obu tych wojnach dała fundament wszystkim zwycięstwom i — wszystkim zbrodniom niemieckim.

Kiedy profesora Messerschmidta, słynnego konstruktora samolotów bojowych, mimo przynależności do partii hitlerowskiej sąd denacyfikacyjny w Augsburgu w r. 1948 uznał „niewinnym", wyrok ten uzasadnił następująco: „wiedza i umiejętności prof. M. zostały wykorzystane wbrew jego woli dla celów wojny". — Kłamstwo oczywiste, lecz celowe. Niemcy świadomie ratują dzisiaj prestiż każdego swego uczonego, aby nie osłabić organizacji, która pozostała z lat minionej potęgi

Potęga Niemiec opierała się na czterech koncentracjach: 1) kapitału (kartele), 2) wiedzy (sztab naukowców), 3) sił zbrojnych (sztab generalny), 4) sił politycznych (rząd... obozów koncentracyjnych).

Po rozbiciu koncentracji politycznej i wojskowej, po zagrożeniu Poczdamem koncentracji kapitału, najmniejszemu zniszczeniu uległ fundament naukowy. Zrozumiały więc jest wysiłek Niemców, aby utrzymać, rozbudować i odzyskać wpływy w świecie przy pomocy tej ostatniej mocarstwowej broni niemieckiej.

Przez trzy powojenne lata Niemcy zrobili w tej dziedzinie wszystko, co było w ich mocy.

W Niemczech zachodnich rozpoczyna się nowa koncentracja niemieckiego kapitału. Powstaje więc już drugie wiązadło siły niemieckiej.

Świadomie w kolejności czterech koncentracji — kapitał i wiedzę postawiłem na pierwszym miejscu. To jest podstawa wyjściowa, umożliwiająca koncentrację wojskową i polityczną w chwili dogodnego dla Niemiec układu sił międzynarodowych.

Marzycielom zaś, którzy wierzą w postęp demokratyzacji, odpowiem krótko: — W Niemczech zachodnich z sektorami zachodnimi Berlina włącznie znajdowało się przed wojną i znajduje się po wojnie 80% wszystkich wyższych uczelni Niemiec i 80% przemysłu. A w Niemczech zachodnich 15 sierpnia 1948 r. redaktor naczelny czołowego pisma Hitlerjugend „Wille und Macht" (Wola i Potęga) — dr Günther Kaufmann otrzymał licencję władz okupacyjnych na wydawanie i redagowanie w uniwersyteckim mieście Moguncji miesięcznika pod nazwą „Das Ufer" („Brzeg").

Edmund Osmańczyk

*)

STANISŁAW WYGODZKI

rysunki JANA LENICY

STOPNIE NIENAWIŚCI

Gdy Henryk S., przybyły po raz któryś już po wojnie do Europy odwiedził pierwszy raz kraj rodzinny, miasto, w którym się wychował i pracował, wreszcie Warszawę, w której mnie odszukał — wiedział już o mnie wszyko. Nie było w tym nic dziwnego, w każdym razie nic dziwnego dla osób, które go znały. Przez siedem lat był zarówno centralą telefoniczną jak i zwykłą skrzynką pocztową dla wszystkich pozostałych przy życiu, którzy kiedykolwiek mieli styczność, przelotną bodaj, z naszym miastem. Złożyły się na to szczególne okoliczności, o których obecnie wspomnę mimochodem jedynie, bo nie należą do mojej niniejszej opowieści.

Zadzwonił do mnie do biura, a więc wiedział już nawet gdzie pracuję, a gdy na pytanie kiedy mógłbym się z nim zobaczyć odpowiedziałem, że proszę, aby on wyznaczył czas i miejsce spotkania, rzekł bez namysłu: — no, oczywiście w niedzielę, bo wtedy masz najmniej zajęć.

Henryka S. nie widziałem od grudnia 1940 roku, kiedy to wraz z rodziną, sobie tylko wiadomymi drogami wydostał się z B. w Zagłębiu Dąbrowskim, by po kilku dniach napisać do krewnych i znajomych z... Genewy. Dla niewtajemniczonych to brzmi jak legenda, w którą trudno uwierzyć, ale jest nas jeszcze garstka tych, którzy go wówczas żegnali, a jeszcze większa liczba osób, dla których się stał na terenie Szwajcarii łącznikiem między Polską a Ameryką, Związkiem Radzieckim, Anglią, Palestyną.

Gdybym chciał określić ówczesną geografię jego sieci korespondencyjnej, musiałbym najdalszy punkt umieścić nie w Charbinie, a w Tokio. Najbliższym punktem tej rozległej sieci było moje miasto rodzinne B., z którego Henryk — jak już wspomniałem — wyjechał pod koniec pierwszego roku wojny.

Nie o szczegółach jego ówczesnego wyjazdu pragnę mówić. Jest to sprawa mniej sensacyjna, aniżeli okupacyjny przejazd z Piotrkowa do Warszawy. Niemcy, kupcy z którymi Henryk utrzymywał wielokrotnie stosunki handlowe w Berlinie i Wiedniu, mieli wkrótce zawładnąć zagrabionym obecnie przemysłem metalowym w którym Henryk siedział od wielu lat. Były to pierwsze trzy miesiące okupacji, eksterminacja nie przyjęła jeszcze tych form w jakie później się przerodziła, chociaż pierwszy dzień pobytu Niemców w naszym mieście znaczony był pożarem kilkunastu domów i żywym stosem ludzi, który w tych domach zapłonął. Do wyskakujących strzelali, pozwalając im podbiegać blisko szeregu SS-manów, otaczających płonący blok. Uciekający przed pożarem biegli ku ludziom. Ludzie strzelali i żaden już nie wracał w pożar.

Nie wiem, czy wśród strzelających wtedy byli znajomi kupcy Henryka S., ci z Berlina i Wiednia, natomiast wiem na pewno, że byli później i brali udział w masowych egzekucjach, ale już wówczas, pierwszego dnia znaleźli się wśród tych, którzy chcieli zawładnąć jego majątkiem i to szybko, najśpieszniej, zanim jakieś centralne zrzeszenie branżowe zajrzy do ksiąg i ustali ilość towaru nagromadzonego w olbrzymich składach w mieście i poza miastem, na rozległej składnicy przy bocznicy kolejowej. Bardzo im się śpieszyło, ale mimo to nie mogli dokonać jawnego rabunku: nie wypadało. Nie pozwalały na to lata współpracy handlowej, lata korespondencji, spotkań, zażyłości.

Dziewiątego listopada wzięto w naszym mieście zakładników. Znalazł się wśród nich również Henryk S. Od niego wiem, opowiadał o tym po zwolnieniu, co z nimi wyczyniano na komendzie głównej w pobliskim S., i w więzieniu w M., które poznałem znacznie wcześniej. Nie chciałby wam opisywać tych okropności, w naszym kraju niewiele można nowego na ten temat powiedzieć, wspomnę tylko o karze II, która polegała na tem, że więzień musiał leżeć na brzuchu zupełnie nieruchomo. Dniami i nocami z nosem wpartym w kamienną posadzkę. Za najlżejsze poruszenie groziło dodatkowe bicie, co nie uwalniało od dalszego leżenia na brzuchu. Henryk mówił o tym niechętnie, również adwokat P., jeden z najwspanialszych ludzi jakich znałem napomykał raczej o tych sprawach, ale co ten wyczulony człowiek przeżył to nie należy do naszej opowieści. Napisałem „wyczulony" i nie ma w tym przesady. Był jednym z tych nielicznych, może jedynym człowiekiem w kraju, który w początkach naszego stulecia jeździł do Paryża specjalnie po to, by być na nowej premierze u Djagilewa. Znał osobiście Debussy'ego, Pitojewa i Baksta. Opowiadał mi, że leżąc na podłodze w pojedynczej celi więzienia w M., powtarzał w duchu wątki z „Męczeństwa Św. Sebastiana". Możliwe, że nie bolesne wspomnienia zamykały wypuszczonym usta, najpewniej pamiętali gest, jakim ich żegnał zwalniający ich SS-man: unosił na płask rozwartą dłoń, dotykając nią gardła. Spróbujcie wykonać ten gest. Czy pamiętacie mitologiczne sceny z malarstwa pseudoklasycznego, ten wdzięczny gest kobiety, przykładającej do różowych warg przezroczysty palec, gest oznaczający milczenie? Nie wierzymy w prawdę sztuki pseudoklasycznej, ale czy mogli wierzyć, czy mogli chcieć wierzyć w prawdę naszych czasów tamci uwięzieni ludzie? Dlatego nie mówili.

Po uwolnieniu z więzienia w M., nietylko kupcom się śpieszyło, ale i Henrykowi. Gra stała się jasna i przejrzysta: jeśli nie będzie Henryka, którego ze wspomnianych już względów nie mogli jawnie ograbić, zawładnięcie jego majątkiem stanie się łatwiejsze. Postawili sprawę jasno; umożliwią mu wyjazd. Szwagier jednego z kupców był prezydentem policji w K., dawn..i i obecnym naszym mieście wojewódzkim. Uzyskali papiery dla całej rodziny i wyprawili go w drogę. Prezydent policji z K. towarzyszył im przez całą drogę, aż do granicy szwajcarskiej.

Bliższa rodzina i znajomi otrzymywali od niego często listy, potem jakieś niewielkie paczuszki, których rozmiar ograniczały przepisy, pisał między innymi do mego ojca. Od sierpnia 1943 nie miał do kogo pisać. W mieście w którym żył i pracował nie było już nikogo. Wszystkie listy wracały z adnotacją: adresat nieznany. Jestem pewien, że zacny S., długoletni listonosz naszej dzielnicy, który mi doręczał pocztę przez 20 lat z górą, naprawdę nie wiedział dokąd 20.000 ludzi wyjechało w ciągu 3 dni. Tyle bowiem czasu trzeba było Niemcom, aby nas wyprawić w „nieznane". „Nieznane" było oddalone o 70 km od B. i nazywało się Oświęcim.

Zapamiętałem adres Henryka z czasów, gdy pisywał z Genewy do mego ojca i zaraz po uwolnieniu z obozu, w pobliżu Monachium, napisałem do niego list. List zabrał młody Luksemburczyk M., który wracał do swej ojczyzny autokarem przysłanym przez rząd jego kraju. Przyrzekł mi wysłać list natychmiast po powrocie do swego miasteczka.

Od tego właśnie listu rozpoczęła się moja rozmowa z Henrykiem S., w „Polonii", gdzie mieszkał i gdzie na mnie czekał. Już od wejścia poznałem go, mimo, że siedział w najdalszym rogu. Nie zmienił się, tak mi się przynajmniej w pierwszej chwili wydawało, ale w rozmowie sam stwierdził, że się bardzo zestarzał. Przyjrzałem mu się bliżej. Istotnie twarz miał w zmarszczkach i jeśli nawarstwienie tych rowków oznacza starość, a nie znużenie, chociaż nie tak wyszukanie jak otaczający nas bywalcy kawiarniani.

Czy wypadło wam kiedyś mówić z ludźmi, których nie widzieliście siedem lat? Mówię oczywiście nie o ludziach napotkanych przypadkowo, ale poszukujących was, bo mają wam coś do powiedzenia. Ustrzegłem się, nie piszę więc: coś ważnego do powiedzenia, bo nie wiedziałem czy to co Henryk mi powie ma być mało lub więcej ważne. Nie wiem jak wyście to odczuli, jeśli się to wam zdarzyło, ale ileż trzeba było przezwyciężyć oporów i odczuć nie dających się zdefiniować, aby móc poprostu związać jedno zdanie z drugim. Ponad to, nie wiem czy na domiar złego, czy dobrego patrząc na Henryka, nie mogłem go oderwać od naszego jadalnego pokoju, który był zarazem pokojem przyjęć. Mijałem ten pokój kilkanaście razy dziennie przez wiele lat i w pokoju tym był obecnie żywym jedynie Henryk. Wszyscy inni już byli go opuścili dawno i tak Henryk wrastał w żywe jeszcze otoczenie murów i żywotów gwałtownie przerwanych.

Mogłem i powinienem był z nim mówić jak z kimś bliskim, ale rozmowa wyraźnie się nie kleiła. Czuł to. Dlatego pewnie sięgnął do teczki, leżącej obok, z której wyjął kopertę z fotografiami. Prowadził subtelną grę: pokazując mi zdjęcia żony i córek, które już miały dzieci, nawiązywał do przeszłości, o której jedynie mogłem z nim mówić, ale pokazując mi wizerunki żywych ludzi z mojej przeszłości nie ruszał przecież zmarłych. A jednak przybyli. Czy miałem go zapytać, czy widzi mnie również, tak jak ja jego w tym samym pokoju, gdzie zwykł był rozmawiać z moim ojcem?

Nie musiałem pytać. Z portfelu, pamiętam to wyraźnie, nie spośród zdjęć ludzi żywych wyciągnął jakąś fotografię, którą już, zanim mi ją podał, poznałem.

— Znasz to zdjęcie?

Pamiętałem je od wielu lat. Była to zbiorowa fotografia jakiegoś kółka literackiego z początków stulecia, pożółkła już i wyblakła zarazem, jakby zmyta deszczem, po którym zostaje rdza. Fotografia była z tego okresu naszej prowincji, w którym łatwo mogę umieścić wyimaginowanego fotografa - czarodzieja, który sadowi i stawia tę grupę ludzi przed obiektywem, machając im przed oczyma czarnym sukiennym skrzydłem, którym następnie nakrywa głowę i aparat — podłużną skrzynię zakończoną miechem i umieszczonym w nim olbrzymim okiem obiektywu. Uprawiając czarodziejską sztukę nie fotografował ludzi: fotografował usadowienie i ustawienie.

Z boku stoi mój ojciec, młodzieńczy jeszcze, obok znajome panie i panowie, których często widywałem: byli wśród nich moi przyszli nauczyciele i nauczycielki, ale w pierwszym rzędzie siedział ten, dla którego się tu zebrali, ubrani odświętnie. W pierwszym rzędzie, w środku, jak oś tego symetrycznego układu siedział Szalom-Alejchem, znakomity prozaik, jeden z klasyków literatury żydowskiej, w okularach i pelerynie zwisającej niedbale z ramion. Jest w tym zdjęciu cały styl epoki, cała warszawska młodopolszczyzna, bo pisarz przyjechał z Warszawy. Spod peleryny okalającej luźno szyję wymykają się końce kołnierzyka o wydłużonych, rozlatanych skrzydełkach, kołnierz „Słowackiego" i dopiero znacznie, znacznie później dowiedziałem się, kto nosi pelerynę i co ten strój oznacza.

Widywałem to zdjęcie często. W sypialnym pokoju moich rodziców leżał pękaty album i często odwracaliśmy grube karty przyglądając się znanym i nieznanym twarzom. Z tamtych czasów pamiętam również zdjęcie Haliny, małej pucułowatej dziewczynki z włosami zebranymi kokardą, o której będzie również mowa w tej opowieści. Była to moja kuzynka, jedyna żywa osoba pozostała z mojej rodziny.

Oddałem Henrykowi zdjęcie i powiedziałem:

— Żadna z tych osób już nie żyje.

Henryk odpowiada: — wiem.

Siedzę w naszym pokoju i Henryk rozmawia ze mną jak kiedyś z moim ojcem i nagle spostrzegam, że to wszystko mi się wymyka, że tam przecież nikogo nie ma, a Henryk nie ma mi właściwie nic do powiedzenia. O czym można mówić na cmentarzu?

Widocznie spostrzegł, że jestem nieobecny, bo znów mi pokazuje zdjęcia swoich dzieci, widocznie musi o czymś mówić, aby mnie przywrócić rzeczywistości. Nie chce mi dać tej swobody, która uwalnia od wszystkiego: od konwenansu, nawet od wspomnień i rozmów, które nagłym nawrotem ciągle się zwracają ku nieobecnym.

On ma o czym mówić. Przetrwał z całą rodziną.

Rodzina! Nagle sobie przypominam, ale i ja mam kuzynkę, którą pewnie spotkał w Palestynie i pytam:

— Czy widujesz Halinę?

Najpiękniejsza Halina! Miała najspokojniejsze czoło i oczy jakie kiedykolwiek widziałem. Włosy, miedziane ciężkie włosy zaczesywała w tył ukazując białą szyję i różowe uszy wielkiej kobiety. Gdy siadała do fortepianu widziałem jej pełne ramiona, które się nigdy nie pochylały, nawet wówczas gdy wiodłem ją pod rękę w kondukcie pogrzebowym jej ojca, który zmarł kilka lat przed wojną. Ale teraz? Cóż miałem do powiedzenia o Halinie?

Powiedziałem Henrykowi:

— Bardzo się dziwię, że Halina nie napisała kilka słów do mnie.

— A ty pisałeś do niej?

Istotnie. To ja powinienem był przecież napisać pierwszy, cóż bowiem usprawiedliwiało moje życzenie, aby ona pisała pierwsza?

Odpowiedziałem mu:

— Rzeczywiście nie pisałem do niej. Co u niej słychać?

— Na ogół dobrze, chociaż materialnie nieszczególnie — i nagle zamilkł.

Nie wiem, czy dobrze pojąłem jego milczenie. Do tej pory nie zapytałem go jeszcze o to, jak się jemu wiedzie i nie wiedziałem jak się urządził, co robił, z czego żył. Był przecież od siedmiu lat za granicą, od roku siedział w Palestynie dokąd się dostał po zakończeniu działań wojennych ze Szwajcarii. Z czego mógł żyć kupiec, którego majątek roztrwonili Niemcy, człowiek niemłody już, nie nadający się do pracy fizycznej?

— Słuchaj, Henryku, czy wolno zapytać z czego tam żyjesz?

Spojrzał na mnie z jakąś otwartością na jaką pewnie nie zasłużyłem. Był ode mnie starszy o 20 lat i może nie należało o to pytać, nie tylko ze względu na wiek, ale z uwagi na zakłopotanie w jakie pytanie moje mogło go wprawić.

— Właściwie jest mi ciężko. Niebardzo wiem co robić. Byłem już po wojnie kilka razy w Europie, w Szwajcarii, Francji, Anglii, nawiązuję zerwane kontakty handlowe, może się dogadam z dawnymi producentami, dostawcami moimi i wtedy wrócę do mojej branży. To właśnie z mężem Haliny zabiegamy o reprezentację fabryk angielskich i szwajcarskich. Jego krewni od lat siedzą w przemyśle metalurgicznym, już nawet mówiłem z nimi, zarówno z tymi w Bazylei jak i z tymi w Liverpoolu. Do tej pory idzie to jakoś opornie — machnął ręką — zresztą wątpię czy z tego coś wyjdzie.

Męża Haliny znałem przelotnie, jeszcze z czasów narzeczeństwa. Zanim został mężem mojej pięknej kuzynki, wiedziałem o nim bardzo niewiele i całą tę wiedzę mógłbym wyczerpać w paru zdaniach. Należał do rodziny bardzo rozległej w Europie, która zamieszkiwała Francję, Szwajcarię, Holandię, Anglię i częściowo w naszym kraju. Jeśli ktoś z was bywał kiedyś w Sz., wówczas mógł podziwiać ich olbrzymie młyny, fabryki mebli i zakłady przemysłowe, które stanowiły własność dwóch braci K., wujów Ernesta, kiedyś narzeczonego, a obecnie męża Haliny.



Ernest był obywatelem niemieckim, mieszkał w Berlinie, gdzie występował w imieniu firm, kierowanych przez swoich wujów. Miał szerokie plenipotencje, zwłaszcza odnośnie zakładów przemysłowych swoich wujów, które się znajdowały na terenie Niemiec. Zanim się pobrał z moją kuzynką, co nastąpiło znacznie później, bo już podczas wojny, w Palestynie, mieszkał w dzielnicy biur i urzędów, zajmując kilka pokoi w których stały stare meble, niezmieniane od wielu lat, od pokoleń zapewne. Odwiedziłem go kiedyś w tym mieszkaniu, jechałem długo z Tegel, po to, aby się przekonać, że to właściwie obcy człowiek, o zainteresowaniach obcych mi, dalekich. Halina odwiedzała go kilka razy w ciągu roku, likwidowała jakiś spadek, po czym wracała do swej matki, do S., położonego blisko mego rodzinnego miasta. Ale ilekroć była w Berlinie, pisywała do mnie, to prawda — zdawkowo i w pośpiechu — ale nieproszona i po powrocie nigdy nie pytałem co ją skłaniało do tej nic niemówiącej korespondencji. Może pragnęła w ten sposób zadokumentować, że mimo iż jest u boku mężczyzny, za którego ma wyjść za mąż, wspomina mnie jeszcze?

Tymczasem w Niemczech wiele się zmieniło. Bracia K., z Sz., przebywający tam od lat, wrócili do kraju, jeden z nich wkrótce zmarł, w Berlinie zaś pozostał jedynie ich kuzyn Ernst B., by strzec ich interesów, jak długo się da. Ale interesów tych nie chroniły, ani odznaczenia wojskowe obu braci K., z czasów wojny 1914 — 18, ani niemieckie obywatelstwo ich kuzyna Ernsta B., ani gruby pakiet akcji najpoważniejszych spółek akcyjnych ciężkiego przemysłu niemieckiego. Sądzę, że ten pakiet właśnie bardziej wpływał na zły humor nowych władców tego kraju, aniżeli polskie obywatelstwo obu starszych panów.

W Berlinie Halina odwiedzała konsulat R. P., gdzie załatwiała wymagane formalności paszportowe i wizowe i tam właśnie, w korytarzach urzędowego polskiego gmachu spotykała innych obywateli polskich, zamieszkałych stale w Niemczech. Byli to drobni rzemieślnicy, robotnicy, krawcy, kuśnierze. Nie wiem, czy Halina im się przyglądała swymi pięknymi, chłodnymi oczyma, nie wiem również czy Ernst jej tam towarzyszył, ale wiem co o tych ludziach sądził.

Wiedział o tym również Henryk S. i o tym właśnie mówił ze mną. Sprawy te znał od samego Ernsta, którego spotykał w Berlinie, gdy odwiedzał to miasto w swoich sprawach.

„Ostjuden" — inaczej Ernst nie mawiał, „Ostjuden" są wszystkiemu winni. To oni sprowadzą nieszczęście na wszystkich Żydów w Niemczech, nawet na tych, którzy z żydowstwem niewiele mają wspólnego, bo on sam na przykład ma z żydostwem tyle wspólnego, że raz w roku odwiedza synagogę, nic więcej.

Czy pan widział — pytał Henryka — jak oni się zachowują? Pokazywał mu „Stürmera" i uderzając gniewnie dłonią o rozłożony arkusz mówił:

— Patrz pan, to przecież oni! Na Unter den Linden, na Kurfürstendamm, wśród tysięcy przechodniów pan ich pozna. Ten ich chód, gestykulacja, sposób bycia, sposób jedzenia w lokalu, w którym muszę się z nimi stykać, bo do nieżydowskich nie wolno mi wejść! Od razu pan ich pozna, mimo, że się ubierają tak jak my.

„My" to znaczyło jak Żydzi niemieccy, do których Ernst miał prawo zaliczyć siebie.

— To oni, ci „Ostjuden" sprawili, że w Niemczech jest antysemityzm, niech pan nie wierzy, że Niemcy są antysemitami — nie będzie obcych Żydów nie będzie antysemityzmu.

Henryk wyraził powątpiewanie.

— Dlaczego pan wątpi? Czy pan wie kto dowodził strajkami w Bawarii w latach 1918 — 21? Czy pan wie kim był Kurt Eisner, Erich Mühsam? Henryk mu przerwał:

— To przecież byli niemieccy Żydzi, zresztą i Niemcy tam byli, np. Karl Liebknecht

— Ale kto stał za nimi? „Ostjuden" — mój kuzynek, Ernst Toller z Krotoszyna, z polskich ziem, mimo, że...

Henryk próbował mu przerwać, ale nie dał mu dojść do słowa.

— To nie tylko myśmy na tym ucierpieli, mój ojciec i wujowie, ale cały kraj i wtedy powstał posiew antysemityzmu.

Henryk wspominał te rozmowy z uśmieszkiem, w którym było politowanie. Ernst mówił językiem hitlerowców i przekonywanie, że antysemityzm jest nieodłącznym zjawiskiem ustroju, rządu wreszcie, który się szykuje do wojny, na nic się nie zdało.

— Zobaczy pan — mówił Ernst — jeśli u nas nie będzie tych „Ostjuden", wszystko się uspokoi.

Ernst B. przyjechał do Polski w 1938 roku, w ślad za pociągami, które wywiozły Żydów — obywateli polskich z Niemiec. Niemcy aresztowali ich gromadami, zbierali i któregoś ranka przerzucili przez granice Rzeczypospolitej pod Zbąszyniem. Halinę, bawiącą podówczas w Berlinie zabrano wieczorem, a rannym pociągiem dnia następnego przybył do Zbąszynia również Ernst, który ją jeszcze znalazł w pośpiesznie założonym obozie-kwarantannie. Gdy wymienił komendantowi obozu nazwisko swoich wujów, zamieszkałych w pobliskich Sz., ułatwił mu telefoniczne porozumienie się z nimi. Przybyli niezwłocznie, zabierając przymusowo wywiezioną i dobrowolnie przybyłego do siebie.



Krawcy, kuśnierze, czapnicy przesiedzieli w barakach Zbąszynia kilka tygodni, po czym ruszyli w głąb kraju do krewnych, przytułków, a huczek wywołany postępkiem hitlerowców, wyrzucających obywateli zaprzyjaźnionego państwa ucichł szybko, napewno za szybko, wzbudzając lęk jedynie w sercach ludzi wrażliwych, którzy po raz pierwszy ujrzeli jak wyglądają wygnańcy, uprowadzeni przemocą. Mija właśnie dziesięć lat od owego wydarzenia, ale pamiętacie zapewne widok tamtych ludzi, wyciągniętych nocą z łóżek, chorych i małe dzieci, które w jednej bieliźnie musiały opuścić dom, by po kilku dniach znaleźć się w szczerym polu, na granicznej miedzy. Nocą, pod osłoną ciemności poszczuli ich psami, każąc biec przed siebie. Biegnąc przedostali się na terytorium Polski. Oglądaliśmy to wówczas oczyma zdziwionymi, nie wierząc, że coś takiego jest możliwe. Nie wiedzieliśmy, my mieszkańcy tego kraju, że wszyscy, zarówno Żydzi jak i Polacy odbywać będziemy półtora roku później i to nie przez jedną noc, ale setki nocy podobną drogę, z której kilka milionów ludzi nie wróciło więcej. Mówiłem wtedy z Ernstem, który wraz z Haliną przyjechał do S. Dziwiliśmy się i oburzali — Ernst odpowiadał spokojnie:

— Niemcy musieli usunąć swoich „Ostjuden", a kim są Niemcy ja wiem.

Siedział u nas zaledwie dwa tygodnie, a już posiadał w swych teczkach wykazy Dresdner Banku i domu bankowego Schrödera, z których wynikało, że pozostawiony przez niego zastępca prowadzi pod jego nieobecność wszystkie sprawy finansowe, że skrupulatnie wpłaca wszelkie wpływy na dawne konta bankowe, że potrąca podatki, świadczenia na co załączał odpowiednie pokwitowania.

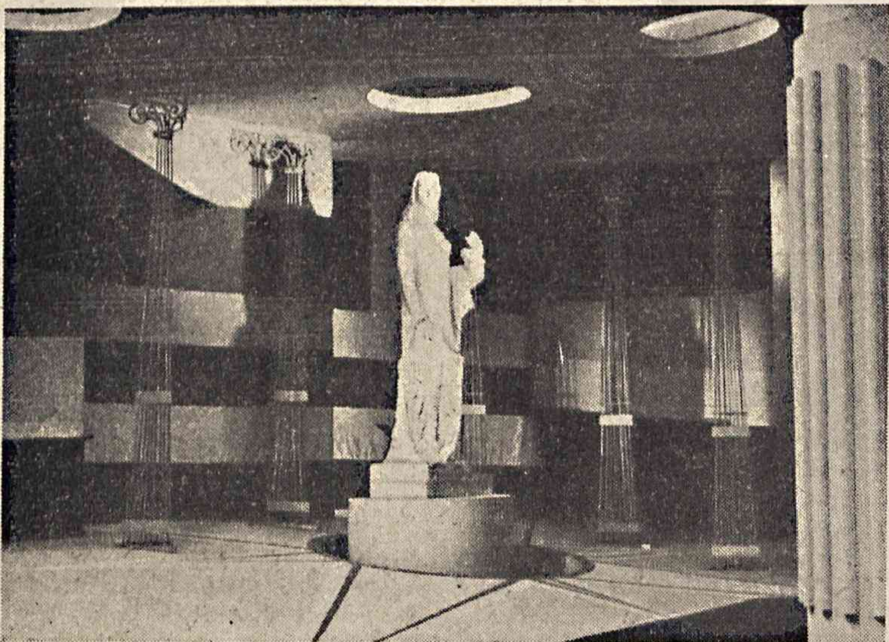
Pokazując te dokumenty nieomal gładził je, nie jak papierek, ale jak zmaterializowany honor tego kraju, w którym księgowość stała się religią. Po wojnie widzieliśmy tę księgowość: dotyczyła ona między innymi ilości wyrwanych złotych zębów, kilogramów włosów ludzkich, par obuwia zdjętego z nóg ludzi, a jedynie tych nie księgowano.

— To są Niemcy mówił wtedy. Mnie tam nie ma, ale interesy moje prowadzą tak jakbym tam siedział i mogę być spokojny, nie potrafią oszukać nawet na fenigi.

(Dokończenie w numerze nast.)

JAN LENICA

Zagadnienia plastyczne Wystawy Ziem Odzyskanych



Sala Konferencji Warszawskiej

Zagadnienie nowoczesnej organizacji plastycznej wystaw wypłynęło po wojnie po raz pierwszy, od razu w wielkiej skali, na Wystawie Ziem Odzyskanych.

Wystawa ta jest nie tylko olbrzymim przeglądem powojennego dorobku polskich architektów, plastyków i grafików, ale i polem doświadczalnym, na którym możemy skonfrontować wiele metod, organizowania środków plastycznych dla określonych tematycznie celów.

Z góry stwierdzam, że małomiasteczkowe i jarmarczne sposoby „dekorowania" stoisk w mniejszej czy większej skali, zdecydowanie zawiodły. Metody te, stosowane przez drugorzędnych dekoratorów w niektórych stoiskach terenu „B", powinny wreszcie zaniknąć. Architektura wystawowa musi być komponowana jednolicie, musi tworzyć zwartą całość, oddziałującą na widza swą dynamiczną, nowoczesną formą. Tu właśnie wysuwa się zagadnienie znalezienia nowych, najmocniej przemawiających form architektoniczno-plastycznych. WZO dowiodła, że są to elementy sztuki nowoczesnej — abstrakcjonizmu i surrealizmu.

Jaskółką zwiastującą tryumf tych plastyków, którzy dążą do przezwyciężenia oklepanej i skonwencjonalizowanej symboliki flagi, mapy czy Światowida, jest jeden z najciekawszych plakatów powojennych (propagujący WZO) — abstrakcyjny, dynamiczny, utrzymany w czystym kolorycie, plakat Eryka Lipińskiego. Jest dla mnie tajemnicą, dlaczego ani jeden egzemplarz tego świetnego plakatu nie został rozwieszony w Warszawie. Konieczność stworzenia nowej, jak najsilniej przemawiającej symboliki, to jedno z głównych zagadnień nurtujących naszą obecną grafikę. Jan Kott, z którym zwiedzałem Wystawę Ziem Odzyskanych, już w pierwszych działach pawilonu Czterech Kopuł, zwrócił uwagę, na świetną przydatność do tego celu nadrealizmu. Tak więc widać, że plastycy nie są w swoich wnioskach osamotnieni. Malarstwo nadrealistyczne, ta „nadmierna eksploatacja wyobraźni", zaskakująca fantastycznym i niespodziewanym zestawieniem przedmiotów, realistycznie, a nawet naturalistycznie ujętych, może stworzyć nowe symbole, przyciągające widza i zniewalające go do zastanowienia się nad nimi.

I co dla wielu najdziwniejsze, okazuje się, że wszelkie zarzuty „niezrozumialstwa" są bezpodstawne. Konstrukcja z pogiętego żelastwa i wykrzywionych szyn, symbolizująca zniszczenia wojenne w pierwszym dziale: „Zniszczenia", zaprojektowanym przez Wielhorskiego i Zielińskiego, jest, jak miałem możność zaobserwować, dla każdego całkowicie zrozumiała i z całą pewnością robi większe wrażenie, niż uczyniłaby to jakakolwiek rzeźba naturalistyczna. O zagadnieniu tym pisał w nrze 5. „Architektury" inż. arch. Jerzy Hryniewiecki kierownik artystyczny WZO: „... wkraczamy w świat pojęć artystycznych, nie mieszczących się w ramach myślenia tradycyjnego. Wchodzimy w „stosowany surrealizm", bliski nam staje się kierunek sztuki abstrakcyjnej. Żyjemy na nowo wskrzeszonym dynamizmem futuryzmu, otacza nas atmosfera prądów plastycznych, dotychczas niezrozumiałych. Sztuka „elitarna" znajduje wreszcie swą przekładnię dla oddziaływania na masy. To co jest formą niezrozumiałą i trudną na salonach sztuki — na wystawach i targach zaczyna przemawiać do mas językiem propagandy i reklamy",

W tej walce o nowy język plastyczny rozstrzygają już pierwsze eksponaty wystawy. Tuż przed pawilonem Czterech Kopuł stoją tryptyki Jana Cybisa i Jerzego Wolffa oraz sześć witraży Stażewskiego i Urbanowicza. Tryptyki Cybisa i Wolffa dowodzą niemożliwości przeniesienia kameralnej techniki post-impresjonistów do dużych rozmiarów oraz brak jakichkolwiek cech monumentalnych tego malarstwa, tak pięknie grającego delikatnymi gamami barw np. w martwej naturze, znajdującej się we wnętrzu mieszkania. Natomiast niezbyt szczęśliwie ustawione witraże Stażewskiego i Urbanowicza, umiarkowane w deformacji, o legér'owskim kolorycie,. spełniają całkowicie swe zadanie: przykuwają uwagę, są monumentalne. Zresztą technika impresjonistyczna zawiodła wszędzie, we wszystkich freskach czy planszach. Blade i rozbite, nie są one w stanie przyciągnąć oka, zmęczonego nawałem wrażeń, form i barw.

Wkład artysty polskiego w Wystawę Ziem Odzyskanych jest olbrzymi. Niektóre działy, czy eksponaty, stawiają ją w rzędzie imprez światowych. Niemniej chciałbym omówić krótko trzy zasadnicze błędy działu problemowego „A", a mianowicie: 1) zbyt małą skalę niektórych działów, 2) brak perspektywy oraz 3) zbyt wielkie rozbicie pewnych zagadnień. Wystawa obliczona jest przecież na wielkie ilości zwiedzających, tymczasem w wielu miejscach pawilonu Czterech Kopuł jest tak ciasno, że trzeba po prostu rezygnować z obejrzenia całego szeregu eksponatów czy plansz. Z drugiej strony te same przedmioty posiadałyby o wiele większą moc oddziaływania, gdyby zostały zaprojektowane w skali kilkakrotnie większej. Najlepsze wrażenie sprawiają właśnie cztery kopuły, które przytłaczają ogromem i swobodą przestrzeni. Wiąże się z tym sprawa druga, to jest brak perspektywy. Nie można cztero- czy pięciometrowych malowideł ściennych albo plansz oglądać z odległości trzech metrów, jak to się często zdarza na wystawie. Wolny od tego błędu jest mieszczący się w Hali Ludowej dział „Człowiek", który powstał pod kierownictwem prof. Gronowskiego i inż. Szparkowskiego. Na wystawie rządzą te same prawa, co na salonach sztuki, dla obejrzenia obrazu o danej powierzchni, konieczna jest określona odległość, perspektywa. I wreszcie jeżeli chodzi o punkt trzeci — odniosłem wrażenie, że wiele działów zostało tematycznie za bardzo rozbitych, rozczłonkowanych, na olbrzymie ilości wykresów, zestawień, obliczeń statystycznych i tablic, które rozpraszają niepotrzebnie uwagę zwiedzających. Szczęśliwie uniknął tego jeden z najlepszych działów wystawy: „Węgiel", projektowany przez braci Zameczników. Wykresy i obliczenia zostały namalowane na taflach szklanych, co w ciemnej Rotundzie, na tle ściany z węgla, nie psuje zupełnie całości kompozycji. Czytelność tych tablic z bliska jest bardzo dobra, przez podświetlenie ich od dołu estetycznymi lampkami.

Bardziej przyciągające uwagę fragmenty czy eksponaty plastyczne wystawy to Pierwsza Rotunda pawilonu Czterech Kopuł która świetnie wprowadzając widza w atmosferę hal wystawowych, oddziaływa silnie powagą mieczy grunwaldzkich i mocno skomponowanych rzeźb Bandury, zaliczanych do najlepszych na wystawie. Rotunda ta, tak jak i następny dział „Zniszczeń", została zaprojektowana przez Cz. Wielhorskiego i T. Zielińskiego. „Czterech Jeźdźców Apokalipsy" H. Tomaszewskiego i Jeszkego, świetnych w rysunku i zimno-płomiennym kolorycie, to znów jedno z najlepszych malowideł ściennych. Ciekawym eksperymentem, zbyt małym w skali, jest surrealistyczny hall, wprowadzający do działu demograficznego, malowany przez Langego i Jędrzejewskiego. W następnej Rotundzie, do której prowadzą dobrze zakomponowane przez E. Lipińskiego sale, góruje rzeźba Kowalika, otoczona przez plastycznie frapujące wnęki Bocianowskiego. Górny fresk wykonał St. Łuckiewicz.



Plakat projektu Eryka Lipińskiego

Bardzo piękną i zwartą całość stanowi dział dochodu społecznego projektu J. Glińskiego i U. Stępnia, w którym uwagę zwracają pomysłowe kasetony i żelazna kratownica. W sali Odry najpiękniejszym akcentem jest bardzo dekoracyjna rzeźba J. Jarnuszkiewicza, symbolizująca Odrę. Ciekawym pomysłem było umieszczenie, za sporządzonym z fotografii portalem romańskim, panoramy Wrocławia, śmiało narysowanego dzieła J. Knothego. W ogóle trudno jest wymienić wszystkie pomysły architektoniczno-plastyczne naszych artystów, jest ich tak szalenie dużo. Weźmy choćby sale kinowe, każda z nich została rozwiązana w sposób indywidualny, całkowicie odmienny i niemniej ciekawy. W jednej domalowano na ścianie część widowni ze znajdującymi się na niej widzami, w drugiej projekcja odbywa się na ekranie położonym poziomo, w trzeciej obraz rzucony jest od tyłu, przy czym aparat projekcyjny znajduje się w oszklonej kabinie, wreszcie w czwartej nadano ekranowi pomysłową, nieregularną, okrągłą formę.

Bardzo dobrze plastycznie zorganizowanym dziełem jest „Morze i Wybrzeże", w którym projektodawca Staniszkis umiejętnie operuje wielkimi, wymownymi symbolami, czy będzie to olbrzymi globus w ostatniej Rotundzie, czy ściana dawnych pieczęci, czy też najlepsza rzeźba wystawy — olbrzymich rozmiarów śruba statku umieszczona w sali wyklejonej fioletowymi fotokopiami planów. W dziele tym wymienić muszę wielki czarny witraż M. Hiszpańskiej, o rysunku drapanym, bogatym i ornamentalnym. Natomiast drugi, barwny witraż, cechuje chotyczność kompozycji. Freski ścienne i rysunki na szkle K. Manna odznaczają się właściwą temu grafikowi śmiałością pociągnięcia pędzlem i dekoracyjnością. Wreszcie wiele interesujących stoisk mieści ostatni dział „Rolnictwo" projektu J. Warunkiewicza i J. Polińskiego.

Zupełnie odrębny charakter nadała salom Hali Ludowej indywidualność T. Gronowskiego, który utrzymał je w jasnych, pastelowych barwach. Do najciekawszych zaliczyłbym solę „Konferencji Warszawskiej" z pięknie grającą na tle sztandarów rzeźbą dłuta Rzeckiego, salę kultury z silnym akcentem środkowego parawanu oraz tzw. „Salę Kopernika". Chciałbym wspomnieć jeszcze o portrecie Pstrowskiego pędzla prof. Kowarskiego, znajdującym się w sali przodowników pracy. Uważam obraz ten za bardzo udałą próbę, zresztą jedną z pierwszych, próbę stworzenia malarstwa przeznaczonego i dostępnego dla szerokich mas odbiorców, a równocześnie nie rezygnującego ze zdobyczy malarstwa nowoczesnego. Spokojna, zrównoważona kompozycja, sylwetka człowieka doprowadzona do formy prostej, syntetycznej predestynują ten rodzaj malarstwa do zajęcia należnego mu miejsca w świetlicy czy domu robotniczym.

Wejście na wystawę i jej przedpole rozwiązał architektonicznie doskonale inż. Leykam. Świetnym pomysłem było odciągnięcie oka od brzydkiej i ciężkiej Hali Ludowej przez najpiękniejszy i najbardziej syntetyczny symbol Wystawy Ziem Odzyskanych przez cudownie smukłą Iglicę oraz trzy ażurowe, drewniane łuki projektowane przez inż. Hempla, który jest także twórcą mostu łączącego dwie nowowybudowane hale u wejścia na wystawę.

Piękno wystawy odczuwa zwiedzający jeszcze bardziej na terenie „B", gdzie dziesiątki architektów i plastyków wyczarowało na rozsłonecznionym terenie kilkadziesiąt mniej lub więcej zgrabnych i interesujących pawilonów. Obok rzeczy, słabszych, jak np. sgraffito u wejścia do pawilonu przemysłu prywatnego czy brudne malowidło w pawilonie radiowym, wymienię stoiska ciekawsze jak pawilon ZUS. projektu T. Trepkowskiego z niespotykanym raczej symbolem wielkiej ręki, pawilon komunikacji, w którym uwagę zwraca stonowana kompozycja abstrakcyjna w końcu stoiska i dowcipne gwasze I. Witza, czy wreszcie pawilon chemiczny. Trudno wprost od razu ocenić olbrzymi wysiłek twórczy polskiego artysty - architekta, plastyka czy grafika.

Wysiłki młodych adeptów sztuki często są b. zadowalające, idą po tradycyjnej linii rozwojowej polskiej grafiki. Traktują płaszczyznę płasko, rozwiązują ją przy pomocy stylizowanej formy.

Wystawa Ziem Odzyskanych była dla polskiego artysty wielką próbą, z której wyszedł zwycięsko, wynosząc z niej wiele cennych doświadczeń na przyszłość.

Jan Lenica



Rzeźba „Zwycięstwo" w Pawilonie Czterech Kopuł



fot. Film Polski

Dział demograficzny w Pawilonie Czterech Kopuł

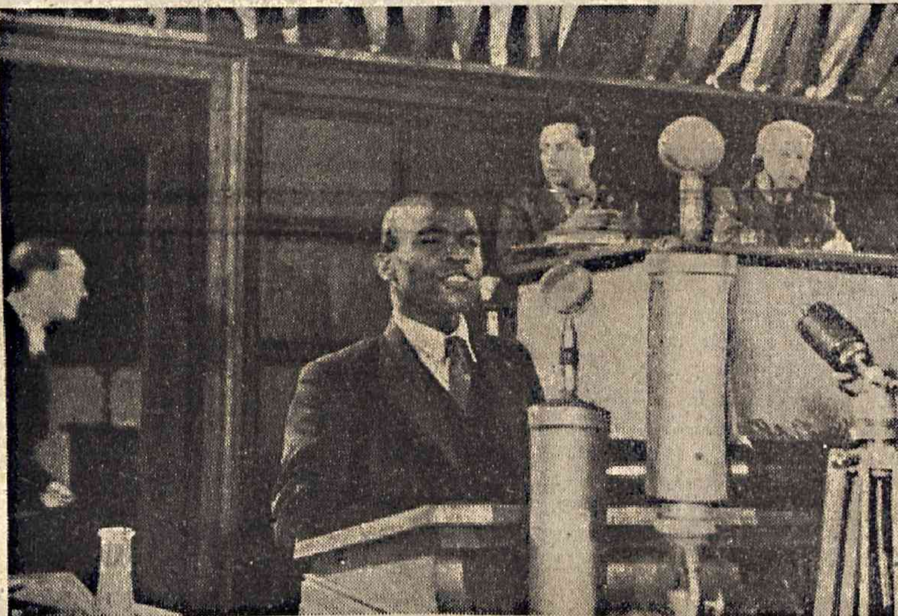
EGZOTYCZNI UCZESTNICY KONGRESU WROCŁAWSKIEGO



Śpiewak amerykański Aubrey Pankey przemawia z trybuny kongresowej



Literat murzyński P. Blackman na trybunie



fot. Film Polski

Prof. Jean Felix Tchicaya w rozmowie z pisarzem ukraińskim Aleksandrem Korniejczukiem

Notatnik muzyczny

»Muzyka Polska« prof. Jachimeckiego

Pojawiła się na półkach księgarskich pierwsza część tomu pierwszego nowego wydania historii muzyki polskiej napisana przez zasłużonego badacza jej dziejów, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr. Zdzisława Jachimeckiego *).

Choć daleki od naukowej w tym zakresie fachowości i ścisłych podstaw do wydania sądu o tego rodzaju pracy, przecież sygnalizuję ją; wypełniona bowiem zostaje luka, dająca się dotkliwie odczuć każdemu, komu drogie są dzieje naszej kultury.

Poprzednie wydania prac autora „Muzyki Polskiej", których pierwszym ogniwem był popularny szkic wydany w r. 1907 „Muzyka w Polsce", całkowicie są wyczerpane. Ukazujący się teraz tom jest piątym wydaniem dzieła, reprezentującego owoc długiej i cierpliwej pracy w terenie niemal że dziewiczym, gdyż w latach dziewięćsetnych Jachimecki, jako jeden z pierwszych, poczynał szperać w bibliotekach i archiwach Warszawy, Krakowa, Mogiły, Tarnowa, Gdańska, Wrocławia, Lwowa, Petersburga, Berlina, Lipska, Drezna, Hamburga, Monachium, Paryża, Londynu i Wiednia.

Wydane w 1907 r. „Dzieje Muzyki Polskiej" Aleksandra Polińskiego, choć mogły służyć za podstawę do takiej pracy, przecież nie umniejszają w niczym zasługi zebrania i zestawienia wielkiej ilości faktów i materiałów. Pracę Jachimeckiego uważać trzeba za ważną, potrzebną, pożyteczną i odważną, każdy bowiem, kto się porywa na takie zadanie, narażony jest na ryzyko wielu zarzutów i naukowych polemik.

„Celem historii każdej gałęzi sztuki jest obudzenie zaciekawienia w czytelniku poznania dzieł omówionych" pisze Jachimecki w przedmowie do wydania z roku 1920. Nawołuje tam do wydania zabytków dawnej muzyki polskiej, inwentaryzacji bibliotek i archiwów, stworzenia bibliografii i ogólnopaństwowej „biblioteki muzyki polskiej". Po blisko trzydziestu latach wszystkie te postulaty są, niestety, ciągle aktualne. Tylko, że nie sposób nawet określić, ile materiałów bezpowrotnie w tym czasie zginęło.

Wołamy ciągle o muzykę narodową, o twórczość związaną z ziemią i stylem polskim. Nie zapominajmy o tym, że tego się z palca nie da wyssać. Tu nie wystarczy żmudne dłubanie w niedostępnych, bo wyczerpanych tomach Kolberga. Dla muzyka polskiego możliwość odnalezienia takiego np. zbiorku pieśni pod tytułem „Pobudka do dobrej myśli" wydanego przez Nikodema Niebylskiego w Toruniu, u Augusta Berbera, w 1615 roku, byłaby czymś ważniejszym niż powrót Jana Kiepury do kraju. Usłyszenie muzyki z czasów Władysława Jagiełły, pieśni studenckiej czy hymnu na cześć Krakowa z roku 1426, nie mówiąc już o utworach Szamotulczyka, Gomółki, Leopolity czy Zieleńskiego więcej przyniesie korzyści i bardziej ożywi twórczość polską, niż stoczterdziestepiąte wysłuchanie walca, choćby i samego Chopina, czy arii samego Verdiego.

Zresztą, czasy od owego 1426-go roku tak bardzo się nie zmieniły, skoro tłumaczony z łaciny poemat Stanisława Ciołka taki nam daje obraz Krakowa:

Kraków, wielki, stary gród,
twoją sławą zgodny lud,
w tobie kleru zbożny trud,
mądrych mężów dzielny ród,
w tobie płodnych niewiast w bród
bogactw w tobie mnogość wielka.

Czyste żyźnią ciebie wody,
strzegą góry strojne w lody,
nie ominą łotrów kłody,
ale prawo do nagrody
ma w twych murach cnota wszelka.

Nasze wydania, ks. Surzyńskiego „Monumenta Musices Sacrae in Polonia" i wydawnictwa Towarzystwa Wydawniczego Muzyki Polskiej, Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Muzyki Polskiej czy — wydane w 1927 roku — psalmy Gomółki, dalekie są od monumentalnych wydań takich jak „L'arte Musicale in Italia", „Monuments de la musique française", „Denkmäler der Tonkunst", „Collectio operum musicorum batavorum", „Lira Sacro Hispana", „Cancionero musical de los siglos XV, XVI", „The english madrigal school" (30 tomów) i tyle innych, obejmujących setki, a w sumie tysiące tomów, jeśli wliczymy w to wydania dzieł wielkich mistrzów w Italii, Hiszpanii, Francji, Związku Radzieckim, Anglii i Niemczech.

Mając taki zasób źródeł łatwo jest zdać sobie sprawę z cech sztuki rodzimej. Renesans muzyki hiszpańskiej ma swe źródło ożywcze w poszukiwaniach Eslavy, wydawcy 10 zbiorów „Lira Sacro Hispana", Pedrella, z jego ośmiu tomami „Hispaniae schola musica sacra" czy również ośmiu tomami dzieł samego Vittorii, czy wydawnictwach Barbieriego z jego „Cancionero".

U nas idzie to niesłychanie wolno i prawie nikt nie zna muzyki przedchopinowskiej. Kto słyszał Communiones czy potężne Offertoria Zieleńskiego na dwa chóry, każdy z towarzyszeniem odrębnych organów? Kto słyszał jego 12-głosowe Magnificat z towarzyszeniem trojga organów? Słyszał to profesor Jachimecki we Lwowie, w 1910 roku, w czasie obchodu setnej rocznicy urodzin Chopina. Było to jedyne dotychczas — za pamięci współczesnej — wykonanie, z dwoma fisharmoniami, jako że organy, to nie pulpit skrzypcowy, który można przestawiać dowolnie.

Dziwniejsza jest głucha cisza otaczająca łatwe i proste psalmy Gomółki, już w 1580 roku wydane do tekstów w tłumaczeniu Kochanowskiego. Czemu ich nasz kościół nie śpiewa? Pozostanie to tajemnicą tego dzieła, które jest jedną z pierwszych prób świadomego i celowego upowszechnienia sztuki, bo oto co pisze Gomółka w rzewnej przedmowie dedykacyjnej do biskupa krakowskiego, Piotra Myszkowskiego, któremu i Kochanowski poświęcił swój psałterz:

„Niosę nowe melodye
Dawidowe psalmodye
Które na nowe wydany
Psałterz tobie przypisany
Są łaciuchno uczynione,
Prostakom nie zatrudnione.
Nie dla Włochów, dla Polaków,
Dla naszych prostych domaków.
Wszakże jeśli te łaskawą
Nyrzą twarz, k'temu chęć prawą,
Podam lepsze do rąk twoich".

Gałczyński? Nie. Gomółka. W 1580 roku. Też chciał dla domaków, a domaki nic. Milczeli. Dziś chcieliby posłyszeć, żeby się napić tej sztuki polskiej z XVI-go wieku, może ich „Muzyka Polska" Jachimeckiego rozrusza i do tego zachęci?

I tak przez te karty wędrować można i pożerać je chciwie.

Dotychczas wydany, przystępny „szkic historycznego rozwoju" prof. dr. Józefa Reissa „Najpiękniejsza ze wszystkich jest muzyka polska" spełniał zadanie to w sposób tak tendencyjny, tak starał się za wszelką cenę przekonać czytelnika, że muzyka polska jest rzeczywiście najpiękniejsza ze wszystkich, że dzieło to uważam — dzięki tej tendencji — za przynoszące więcej szkody dla bezkrytycznych umysłów, niż praktycznych wiadomości i informacji, które zawiera.

Praca prof. Jachimeckiego jest na poziomie, nie dającym się z dziełem zasłużonego skądinąd prof. Reissa porównać. W przedstawianiu tak naszych osiągnięć, braków i wzlotów jak i stosunków z zagranicznymi szkołami zachowuje prof. Jachimecki umiar i szlachetny obiektywizm.

I pomimo że nie podejmuję się omawiać ani krytykować jego dzieła w sposób naukowy, to jednak uważam, że powinno się ono znaleźć w rękach każdego, kto pragnie się zorientować w całokształcie muzyki polskiej.

Przystępna cena jest zapewne powodem, że praca cierpi na zbyt małą ilość tekstów i przykładów nutowych. Lecz porównując inne prace tego rodzaju, w tym wypadku nie trzeba zbytnio się skarżyć.

Czekamy tu zresztą na pracę, którą muzykolodzy nasi powinni podjąć czym prędzej: wydanie tekstów, przykładów do historii muzyki polskiej, zanim się nie ukaże ogólna historia muzyki w przykładach, jak to istnieje już od dawna w innych krajach. Praktyczne wydanie takich zbiorów powinno być najpilniejszym zadaniem, nie po to, by autor miał się popisywać swą naukową erudycją, lecz wyłącznie po to, by dać do ręki szerokim masom ludzi obdarzonych zamiłowaniem muzycznym przykłady dzieł, które zachwycają poprzez wieki każdego, kto jest na piękno wrażliwy.

Od średnich wieków, przez stare, możliwie autentyczne teksty ludowe, przez wokalne i instrumentalne dzieła, tom taki powinien nam dać w przystępnej formie podany zarys, przekrój muzyki polskiej od XIV i XV wieku po wiek XVIII. Pomogło by nam to przejrzeć trochę, uchwycić wątek, sens i treść naszego muzycznego rozwoju, który skacze po wybojach historii i ciągle nas z wozu wyrzuca.

Tak było za czasów Jagiełły, tak z Kapelą Rorantystów wawelskich, tak z Szamotulczykiem, którego w XV wieku, jak pisze Starowolski, „nie wszyscy współcześni w Polsce rozumieli". Zieleński, największy — jak powiada autor „Muzyki Polskiej" — muzyk polski przed Chopinem, również „nie cieszył się w kraju należytym uznaniem i popularnością". Monumentalne zbiory jego kompozycji ukazały się w 1611 r. w Wenecji i — wstyd powiedzieć — może dzięki temu się zachowały. Lecz cóż, tu ciągle chodzi o ten nasz wóz historyczny! Opera w Warszawie, którą Władysław IV założył na wzór tej, którą, jako królewicz, widział we Florencji, także niedługo mogła się utrzymać. Nie pomogły tu wiersze Adama Jarzębskiego na ten temat:

„W klawicymbał pięknie grają,
Nogi im po włosku drgają,
Kagańców rzecz niezliczona,
A na gankach naznaczona,
Pewna minuta starszego,
Nad muzykami pierwszego:
Którym, jak gdy rozkaże
Albo im znakiem pokaże,
W skrzypki rżną intermedyjo
Aż się skończy komedyja.

Komedyja istotnie skończyła się dosyć prędko. Śpiewacy, śpiewaczki i tancerze, od których dwór się zaroił, musieli zajmować stanowiska dworskie, ich lista była w budżecie królewskim zbyt wysoka, „co mogło drażnić niechętnych operowym kaprysom króla". Występy odbywały się epizodycznie. „W roku 1634 zgłosili śpiewacy pretensje do króla o wypłatę całych należnych im gaż, które im zredukowano z powodu nieobecności króla w Warszawie".

Już to z tą operą warszawską zawsze były trudności! Za czasów Jana Kazimierza lepiej o nią nie pytajmy. Nawet Pękiel zwiał z Warszawy i osiadł w Krakowie, gdzie go zresztą Szwedzi też dopaść musieli. Tradycja rwie się ciągle. Poprzez dzieje nasze musimy rzucać mosty, zupełnie jak dziś, gdy spojrzymy wstecz. Rzucając tak okiem wstecz, widzimy wysiłki Jana Aleksandra Gorczyna, od 1661 r. wydawcy „Merkuriusza Polskiego", który w 1647 r. ogłosił podręcznik tabulatury organowej „abo zaprawy muzykalney. Według którey każdy, gdy tylko a b c znać będzie może się prędko nauczyć śpiewać: y na wszelakich instrumentach: to jest na skrzypcach, klawikordzie y ynszey muzyce z not grać. Z różnych autorów napisane dla pożytku poczciwey młodzi".

Wyraźna jest tu, podkreślona przez autora „Muzyki polskiej", idea upowszechnienia kultury muzycznej. Gorczyn „nie pragnął wszystkich widzieć muzykalnymi, ale chciał aby ci, co szczycą się sarmackim imieniem znali principia kunsztów". Brawo Gorczyn! Rady jego są zdumiewające, gdy na pytanie „Co to jest ton?" odpowiada: „jako się tu rozumieć ma jest dźwięk głosu według miary przyrodzenia czyjego brzmiący, gdyż jawna to, że stary nie może tak cienko intonować jak chłopiec w kilkunastu leciach, chłopiec zaś grubo".

Kończymy XVII wiek, kończymy część pierwszą tego pierwszego tomu, którego całość doprowadzić ma do Chopina włącznie, a tom drugi do chwili obecnej.

Daleki od wyczerpania tematu, jak to autor w wielu miejscach podkreśla, jest to pierwszy, jaki znam, praktyczny podręcznik historii muzyki polskiej. (Wydania z lat 1928 — 30 nie miałem, niestety, w ręku). Uwzględniona skąpo, dotychczas, etnografia muzyczna znajdzie zapewne szersze uwzględnienie w dalszych tomach, nie posiadamy bowiem wczesnych jej pomników, poza kilku tekstami, których forma pierwotnie trudna, lub niemożliwa jest do ustalenia. Oczekujemy też obszernego podania bibliografii wraz z podaniem dotychczasowych wydań dawnej muzyki polskiej, lub znanych nam miejsc, w których pomniki jej się znajdują. Rozproszone w tekście informacje nie zawsze pozwalają na szybką orientację co i ile kompozytorzy nasi stworzyli, co się jeszcze zachowało, a co w zawieruchach naszej historii zginęło. Katalog taki, z pewnością arcytrudny do zredagowania, byłby bezcenną pomocą dla wszystkich badaczy a nawet i muzyków.

Lecz, nie uprzedzając faktów, czekamy niecierpliwie na ukazanie się dalszych tomów „Muzyki Polskiej".

Zygmunt Mycielski

*) Zdzisław Jachimecki: „Muzyka Polska w rozwoju historycznym od czasów najdawniejszych do doby obecnej". Kraków, nakładem księgarni Stefana Kamińskiego, 1948; Tom I. Część I, str. 227 i 3 nl.

RUCIANY I WĘGORZEWO

(Dokończenie)

W PUSTYNI I W PUSZCZY

Miasto w pierwszej chwili wygląda bardzo przyjemnie: tyle zieleni. Jakiś piętrowy budyneczek, prawie cały, tylko z dwoma oknami bez szyb. Urząd skarbowy. Najbliższy kiosk („Czytelnika", oczywiście) rozwiewa jednak to złudzenie ponurą deklaracją: to właśnie, ten urząd skarbowy jest najlepszym budynkiem w mieście.

Niestety ,ocena jest słuszna. Tak wypalonego śródmieścia, poza Warszawą, Gdańskiem, Wrocławiem nie ma chyba w Polsce. Miasteczko liczy teraz 3.000 ludzi, ale mieszkają oni na przedmieściach. Tu jest pustynia, lub raczej puszcza.

PUSZCZA OSINOWA

Gleba to węgorzewska, czy powietrze tak rozpędziło tutaj te drzewa, cieszące się nienajlepszą opinią w słowiańszczyźnie? Smukłe pręty o olbrzymich liściach z gruzów parteru sięgają już piętra i dachów. Gąszcze zieleni przelewają się przez oczodoły okien i drzwi, wyłażą na ulicę. Jeszcze dziesiątek roczków, a będziemy tu mieli krajowy Angkor.

KOŚCIÓŁ I WĘGORNIA

Gdy Giżycko lubuje się w generałach, Węgorzewo upodobało sobie pisarzy. Ulicą Kraszewskiego, prowadzeni napisami na ruinach, trafiamy do jeszcze jednego całego budynku. Mieści się tu PCK, zarząd drogowy, Towarzystwo Krajoznawcze i jeszcze parę instytucji Nasze stroje (szorty, chustki na głowach, ciemne okulary) utorowały nam drogę wśród kupy ludzi, zaaferowanych pewno szarwarkami do szefa drogowego, pełniącego zarazem funkcje miejscowego patrona turystów.

Jego życzliwość pozwala w morzu ruin trafić do kościoła o pięknym w drzewie rzeźbionym ołtarzu i organach, zeszpeconego idiotycznymi galeriami. Zwiedzamy jeszcze „węgornię", obok ruiny krzyżackiej i kościółka, trzecią osobliwość Węgorzewa. Za miastem, za cmentarzem Węgorapa staje się już nie bagienną, ale po prostu przytulną rzeczułką, obrośniętą wierzbami i topolami. Przy młynie przecinają ją żelazne kraty. Węgorze, pędzone musem przedostania się do morza, wpadają tutaj w pułapkę. Betonowa skrzynia w okresach połowu staje się mauriacowskim „kłębowiskiem żmij", w skrzyniach z lodem wysyłanych później do Giżycka, gdzie czynią z nich mało jadalne u nas konserwy. Niestety, tego dnia pułapka była nieczynna.

GŁÓD I MRAZA

Więcej już nic w Węgorzewie, tylko ruiny i smutek. Dziczeją siwe jodły i pretensjonalne tuje przed kadłubami domków, bzy z żywopłotów stały się zaroślami, złocienie zdrobniały, wracają do swych polnych prawzorów. Tu i ówdzie skrawki kartoflisk przypominają, że życie miasta nie zagasło, choć się zdegradowało. Na rynku parę furmanek. Jedyną restaurację, „obywatelską"! dzierżą wprawne ręce panów, którzy, się zwą Głód i Mraza. Bardzo plebejska to restauracja ,by użyć słowa, które całkiem idiotyczne w ważnych artykułach i takichże wierszach, tutaj staje się idealnie adekwatne. Licha wódka króluje przy zachlapanych stołach. Humory są odpowiednio rozplebejszczone.

„Bodajże właśnie Węgorzewo dzierży rekord" Rocznika Statystycznego„ w konkurencji „gęstość zaludnienia". Czterech mieszkańców na kwadratowy kilometr! Jeśli Mikołajki zastąpią nam z powodzeniem Troki to tutaj jest dzisiaj odpowiednik Kamienia Koszyckiego czy Stolina. Linia kolejowa, którą mają przedłużyć wkrótce, może poprawi sytuację miasta, gdzie normalnie znalazłoby się miejsce na kilkanaście tysięcy ludzi.

Skrzynie z rybą ładują na statek. Wędkarze przy kanale. Wiatr na Mamrach płoszy upał, któremu dotąd nie można było się wymknąć.

Jerzy Putrament

■ Książki ■ Książki ■ Książki ■ Książki ■ Książki ■

PRAWO

„PRAWO NORYMBERSKIE — BILANS I PERSPEKTYWY"

Tadeusza Cypriana i Jerzego Sawickiego

Warszawa, Wyd. E. Kuthana, 1948, str. 372.

Gdyby zapytać dzisiaj przeciętnego przedstawiciela „oświeconej" opinii publicznej, które wydarzenie epoki współczesnej uważa za najważniejsze, sądzę, że odpowiedziałby: pierwszą bombę atomową, rzuconą 6 sierpnia 1945 na Hiroshimę.

Czy rewolucyjne wynalazki techniczne i odkrycia powodują podstawowe zmiany w stosunkach międzyludzkich? Czy huk pierwszej broni palnej nie zabrzmiał jak podzwonne feudalizmu, czy Guttenberg nie położył kresu monopolowi Kościoła na propagandę, a radio i samolot nie były prekursorami Ligi Narodów i ONZ? A jednak, pytanie to pozostaje otwarte.

„Rycerski obyczaj", któremu hołdował, między innymi, Maćko z Bogdańca, był kodeksem prawa zwyczajowego, o głębokiej treści moralnej. Jego ducha, a nawet literę, uznawał nie tylko świat chrześcijański. A przecież wojny podówczas nie odznaczały się zasięgiem czy specjalnym okrucieństwem. Grocjusz napisał „De iure belli ac pacis" w wieku XVII, w którym stosunki międzynarodowe były przecie nacechowane umiarem i kurtuazją. U kolebki Rewolucji Francuskiej i Radzieckiej nie stały żadne wielkie osiągnięcia techniczne. Hitleryzm narodził się i dojrzał jako koncepcja, bynajmniej nie w okresie hurtowego zagrożenia i mobilizacji naukowców, ale w cieniu międzynarodowych kongresów pacyfistycznych, PEN-Clubów i komitetów ligowych dla zwalczania handlu narkotykami.

Wydaje mi się zatem, że wszystko co daje się sprowadzić do problemu technicznego, ustępuje w historii ludzkości wszystkiemu co jest problemem powstawania norm moralnych i prawnych, z wszystkimi naturalnymi tego konsekwencjami w polityce. I dlatego najważniejszym wydarzeniem naszej epoki jest nie bomba atomowa, ale proces norymberski. Wniosek ten nasuwa lektura książki Tadeusza Cypriana i Jerzego Sawickiego „Prawo Norymberskie — bilans i perspektywy".

Mijają zaledwie dwa lata od zakończenia procesu a „bilans i perspektywy" jego orzecznictwa zajmują, poza ekspertami, bardzo poślednie miejsce w zainteresowaniach. Podczas jego trwania objawem nagminnym, nie tylko w Polsce, było śledzenie atrakcyjnych, w dziennikarskim tego słowa znaczeniu, momentów procesu zamiast jego arcy-historycznej treści. Książka Cypriana i Sawickiego przeraża w pierwszej chwili ogromem wiedzy, erudycji i bogactwem cytat, podanych w oryginale. Lecz, zwłaszcza w części drugiej, jej dziennikarska aktualność jest uderzająca. Pozornym usprawiedliwieniem ograniczonego zainteresowania, jakie budzą proces i ustawodawstwo norymberskie, jest nacisk i tempo politycznego imbroglio w powojennym świecie. „Prawo Norymberskie", aczkolwiek z natury rzeczy operuje metodologią prawniczą, daje dużo do myślenia właśnie pod politycznym kątem widzenia.

Proces norymberski był niewątpliwie procesem politycznym. Ten jego charakter uważany jest przez niejednego z ortodoksów prawniczych za cechę obciążającą. Do tego stopnia, że liczne autorytety w tej dziedzinie, uważają go bardziej za podsumowanie pewnej konstelacji politycznej niż za dzieło judykatury.

Dr Cyprian i dr Sawicki wykazują dobitnie, że taki dogmatyzm nie da się pogodzić ze stanem rzeczy, na tle którego powstaje nowoczesne (to jest powojenne) prawo międzynarodowe. Prawo międzynarodowe było i jest, bardziej niż jakakolwiek inna dziedzina prawa, refleksem i funkcją stosunków politycznych. Istniała szkoła myślenia odmawiająca prawu międzynarodowemu między innymi i z tego tytułu miejsca wśród systemów prawnych. Nieporozumienie to sięga daleko i głęboko w historię.

Prawo morskie zawiera niejeden przepis (blokada), u którego źródła leży dawna przewaga flot brytyjskich i holenderskich. Gdy Mikołaj II, pod wpływem warszawskiego bankiera Blocha, powziął w 1899 inicjatywę pierwszej konwencji haskiej, krzyżowały się w tym względy humanitarne z zacofaniem militarnym Rosji. Nie przeszkodziło to kodyfikacji prawa morskiego i konwencjom haskim stanowić doniosłego kroku naprzód. Prawo norymberskie jest już nie krokiem, ale skokiem naprzód. Conditio sine qua non jego realizacji było spełnienie się aktu politycznego — wygrania wojny przez koalicję antyniemiecką.

Stosunkowo mało miejsca poświęcają autorzy trybunałowi w Tokio, którego „ustrój, procedura, właściwość i prawo materialne nie odbiegają zbytnio od reguł Statutu Norymberskiego, ale który został powołany na rozkaz naczelnego dowódcy na Dalekim Wschodzie (Amerykanina)". Akt oskarżenia był uboższy w skali, ale analogiczny w treści z norymberskim. Nie orientuję się w konkluzjach trybunału tokijskiego, ale w porównaniu z norymberskim wypadły one blado. Być może, że agresja japońska była politycznie łatwiejsza do obrony niż niemiecka.

Najciekawsze rozdziały książki dr Cypriana i dr Sawickiego traktują o dwóch zupełnie nowych pojęciach międzynarodowego prawa karnego: zbrodnia przeciw pokojowi i zbrodnia przeciw ludzkości.

Zbrodnia przeciwko pokojowi wydaje mi się konstrukcją nieco sztuczną. Sankcje z nią związane są praktycznie możliwe tylko, o ile do jej najcięższej formy, to jest wojny, nie dojdzie. W przeciwnym wypadku ich zastosowanie jest uwarunkowane klęską agresora. Chodzi zatem o usprawnienie prewencji, w czym głos decydujący mają politycy. Zmiana tego stanu rzeczy będzie możliwa przez dalszą ewolucję suwerenności w kierunku jej przesunięcia w górę, ponad państwa, oraz przez zerwanie z fetyszem samoobrony, na który powołują się na przykład państwa arabskie przeciwko decyzji palestyńskiej ONZ. Samoobrona dzisiaj winna być kolektywna, oparta o decyzję nie takiej czy innej koalicji, ale organu międzynarodowego. Wprowadzenie pojęcia zbrodni przeciwko pokojowi jest natomiast wzbogaceniem arsenału środków zapobiegających aktom nie prowadzącym bezpośrednio do konfliktu zbrojnego, ale podobny konflikt przygotowujących lub ułatwiających jego otwarcie.

Zbrodnia przeciwko ludzkości, jej definicja i sankcje, jest największym dorobkiem ustawodawstwa norymberskiego. Tu daleko idące odpolitycznienie prawa międzynarodowego jest możliwe. Wprawdzie praktycznie zbrodnię tę może popełnić bez mała wyłącznie polityk, ale przyjęcie zasady „może ją w razie stwierdzenia wymaganego dolus specialis popełnić nie tylko państwo i jego organa, lecz każdy człowiek" pozwala na sankcje w stosunku do jednostki za jej działalność p r z e d uzyskaniem przez nią politycznie kierowniczego stanowiska.

Jakie będą dalsze etapy rozwoju prawa norymberskiego w perspektywie wielkich linii polityki światowej? Zastanawianie się nad tym w oderwaniu od tych linii było by sprzeczne z historią prawa międzynarodowego. Wydaje mi się, że widać wyraźnie dwie alternatywy: Albo prawo norymberskie, niedalekie już od wypełnienia istniejących dotychczas w prawie międzynarodowym luk, stanie się osią, dokoła której obracać się będą decyzje polityczne, albo zostanie ono raz jeden jeszcze, po raz drugi i chyba ostatni, zastosowane dla ukarania winnych. Tak daleko jak można sięgnąć wyobraźnią polityczną tertium non datur.

Jan Meysztowicz

PROZA AUTENTYCZNA

„MOJA WALKA O ŻYCIE"

Krystyny Nowakowskiej

Warszawa, „Książka", 1948, str. 122

Książka Nowakowskiej należy do rodzaju — za mało u nas uprawianego — wspomnień autentycznych. Pamiętniki bojowników, konspiratorów, ludzi ze specyficznych, ukształtowanych przez wojnę środowisk, wreszcie ludzi, prześladowanych przez faszystów — mogą mieć wartość cennych i trwałych dokumentów hitlerowskiej okupacji w Polsce.

Krystyna Nowakowska opisuje swoje losy zbiegłej z ghetta Żydówki, bez pretensji do literackiej syntezy, ale z dążnością do jak najprawdziwszego oddania ówczesnej rzeczywistości. Książkę cechuje umiar w introspekcji, żywy opis wydarzeń, ładna polszczyzna i, niestety, dość powierzchowne, jak się wydaje, ujęcie zagadnień hitleryzmu, antysemityzmu, kolaboracji itd. Chcę tu jeszcze nawiasowo zwrócić uwagę na pewne drobne niedokładności, których nie uniknęła Nowakowska, gdyż pisała swe wspomnienia już po wojnie i skutkiem tego zdana była na zawodną pamięć. A więc np. u Nowakowskiej „Grodno znajduje się ...w obrębie Generalnego Gubernatorstwa" (str. 62), podczas, gdy w rzeczywistości okupacyjna administracja włączyła Grodno do Rzeszy. W tego rodzaju utworach, co omawiany, rolę odgrywa prawdziwość najdrobniejszych nawet szczegółów. Przed ewentualnym drugim wydaniem swojej książki, Nowakowska powinna sprawdzić wszystkie, także nieistotne pozornie, dane rzeczowe i gdzie trzeba, wprowadzić poprawki.

Ogólnie biorąc — „Moją walkę o życie" czyta się z niewątpliwym zainteresowanim. Należy życzyć autorce, by zapowiedziana następna część jej wpomnień była utrzymana na poziomie pierwszej.

Wnikliwą przedmową opatrzył książkę Jarosław Iwaszkiewicz. Zasługuje na uwagę inteligentna okładka, zaprojektowana przez T. Ulatowskiego.

Wiktor Woroszylski

BIOGRAFIA

„FELIKS DZIERŻYŃSKI — JEGO ŻYCIE, PRACA WALKA"

Tadeusza Daniszewskiego

Warszawa, „Książka", 1948, str. 138

Z ogromnym zadowoleniem należy powitać ukazanie się książki o Feliksie Dzierżyńskim. Wciąż jeszcze za mało popularna jest u nas postać tego wybitnego Polaka i wielkiego rewolucjonisty. W okresie międzywojennym, świadomie i celowo fałszując prawdę, rozpowszechniano o Dzierżyńskim najbardziej bezsensowne i potworne bzdury. Po wojnie, zapewne przez ignorancję, obóz postępu niemal zupełnie przemilczał działalność tego niepospolitego człowieka, albo, w najlepszym wypadku, powoływał się wyłącznie na ostatni jej okres. Poważną zasługą Daniszewskiego, jednego z nielicznych obecnie w Polsce historyków ruchu robotniczego, jest opracowanie gruntownego, choć może zbyt jeszcze szczupłego objętościowo, życiorysu Feliksa Dzierżyńskiego oraz dokonanie wyboru listów, wspomnień i referatów z puścizny po tym „człowieku — żelazie", jak nazwali współcześni znakomitego rewolucjonistę. Owe niezwykle ciekawe dokumenty dobitnie określają postać ich autora. Zamiast niepełnego i ubogiego, siłą rzeczy, omówienia, pozwolę sobie przytoczyć fragment „Pamiętników więźnia", pisanych w 1908 — 1909 roku w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej:

„Tu w więzieniu jest źle, nieraz bywa strasznie. A jednak... Gdybym na nowo miał rozpocząć życie — rozpocząłbym tak samo; nie jest to nakaz obowiązku, lecz mus organiczny. Więzienie tego tylko dokonało, że sprawa stała się dla mnie, czym dziecko dla matki: czymś uchwytnym, realnym jak dziecko dla matki — krwią i ciałem własnym pod sercem noszonym dzieckiem, które nigdy zdradzić nie może".

Książkę o Dzierżyńskim powinni poznać wszyscy. Zasługuje ona również na to, by Ministerstwo Oświaty poleciło ją jako lekturę obowiązkową w szkole średniej.

Wiktor Woroszylski

WSZYSTKIE ZDJĘCIA W POPRZEDNIM NUMERZE WYKONANE BYŁY PRZEZ FILM POLSKI

F I L M

„ZIELONE LATA"

Film amerykański

Kwestia bezbłędnego przetłumaczenia powieści na film jest jednym z najbardziej pasjonujących problemów współczesnego kina. Przyznajmy też, że jednym z najtrudniejszych.

Ze smutnych doświadczeń przedwojennych pamiętamy, jak nęciły polskich producentów „Wiatry od morza", „Wrzosy", czy „Znachory". Nęciły. I cóż z tego?

A. J. Cronin jest jednym z największych beletrystów naszych czasów. „Zielone lata" to jedna z jego najlepszych powieści. Z tym wszystkim decyzja Wiktora Saville, który podjął się reżyserować przeróbkę filmową powieści, należała do śmiałych.

Obszerna epopeja Cronina, życie małego, a potem młodego Roberta Shannon, polega na zagęszczeniu wspaniałych, codziennych obserwacji, na tysiącu drobnych charakterystyk, wiernym kolorycie dawnych, dobrych, wiktoriańskich czasów. Natomiast rozłożona na ładnych lat dziesięć fabuła ani nie jest zwarta, ani nie obfituje w sensacyjne pointy.

Film biograficzny, to rzecz niesłychanie inna od powieści biograficznej. Spokojna, chronologiczna narracja książki nie zgadza się absolutnie z językiem filmowym, zwartym, urywanym, pełnym dynamiki.

Narzucają się liczne analogie z oglądaną niedawno na polskich ekranach „Zieloną Doliną", której scenariusz przerobiono również z powieści o latach młodzieńczych chłopca z wallijskiej osady lat wiktoriańskich. Do tego stopnia, że nawet niektóre niezawodne chwyty, jak bitka uczniów o „rząd dusz" w klasie, powtarzają się tekstowo niemal dosłownie.

Podczas jednak gdy w „Zielonej Dolinie" ze słabej powieści potrafiono zrobić dobry film, w „Zielonych latach" z bardzo dobrej powieści zrobiono film zaledwie dobry. O gorszym (choć mimo wszystko zadowalającym) rezultacie przesądził w równej mierze twórca scenariusza, co reżyser. Zniewoleni czarem książki nie wyeliminowali wielu wątków, które z powodu braku miejsca bądź ledwie zarejestrowali, bądź uczynili wręcz niezrozumiałymi. A człowiek kina nie może najlepszej książki uważać za Ewangelię. To się mści.

Walorem czysto filmowym jest malowniczy pradziadek w szkockiej spódniczce (Alexander Gow), który, nie będąc postacią główną, został jednak w wersji filmowej potraktowany szczególnie wyraziście. Zupełnie słusznie.

Robert Shannon jest zrazu malcem (doskonały Dean Stockwell przypomina najlepsze lata Jackie Coogana), potem od razu maturzystą (Tom Drake objął tę wdzięczną rolę), a w ogóle zaniedbanym stworzeniem bez przyszłości.

Typowo anglosaski optymizm filmu polega na tym, że utalentowany chłopak, wbrew wszelkim przeszkodom natury pieniężnej, dostaje się w końcu na uniwersytet. Dla polskiego widza optymizm to, co najmniej niewczesny: droga do wiedzy otwiera się młodemu Shannonowi wyłącznie dlatego, że spadek po zmarłym pradziadku udaje się wydrzeć zachłannym sukcesorom.

Herbert Stothart popisał się wspaniałą ilustracją muzyczną.

Jerzy Płażewski

„OKOLICZNOŚCI ŁAGODZĄCE"

Film francuski

Walną okolicznością łagodzącą filmu jest to, że nie zamierza on przebudowywać świata. Nawiązując do dobrej sławy francuskiej komedii, reżyser Jean Boyer robi tylko to, co może. Za jego przykładem, czyni każdy w swoim kółku, co każe duch boży. Całość co prawda nie przez sama się złoży, ale jest z tego dużo radości i krzyku.

Sędzia Wyrokowicz — którym jest żaby żywcem wyjęty z kuluarów paryskiego Palais de Justice — Michel Simon — dziwacznym trafem wpada w kompanię podmiejskich rzezimieszków. Gdyby ci przezorni i przenikliwi skądinąd ludzie nie ubzdurali sobie, że nieskazitelnie mieszczański i prostolinijny Simon jest właśnie genialnym przestępcą — nie byłoby komedii. A tak — jest.

Nieszczęsny sędzia, by nie wyjawić swej rzeczywistej profesji, robi dobrą minę do złej gry i organizuje napad rabunkowy na... własną willę.

Niewiadomo czemu, paryskie opryszki dają się jednak opętać rozkoszom legalnego i uczciwego życia, więc oczywiście w ostatniej scenie pokazują się nam w roli straganiarzy, gazeciarzy i licho tam wie, kogo jeszcze. A sędzia wraca do okradzionej przez siebie siedziby, by się opalać w słomkowym kapeluszu.

Wszędzie tam, gdzie jest morał, przypuszcza się bajkę. Tym razem, zaiste, słusznie. Ale ciągnięta za włosy bajeczka okupuje się wybornym humorem sytuacyjnym i pysznymi dialogami (potrójne hurra dla polskiego tłumacza!).

Na przykład: włamawszy się do swych apartamentów, sędzia baczy pilnie, by jego wspólnicy nie przywłaszczyli sobie nic cenniejszego. Łupem zgranego zespołu padają tedy obrzydliwe i tandetne bibeloty pani sędziny. Nagle jakiś gorliwszy atleta wytaszcza skądś popiersie.

— Zostaw to — woła sędzia — to rzecz bez żadnej wartości, zwykły Rodin!

Żyjemy, jak powiada Słonimski, w epoce haussy na trzeźwość. Tożeż od czasu do czasu warto zobaczyć coś głupiego i inteligentnego.

Jerzy Płażewski

KORESPONDENCJA

MAŁA RZECZ, A WSTYD DUŻY

Do redaktora „Odrodzenia"

Biblioteka Narodowa w wydanym przez siebie Przewodniku Bibliograficznym umieszcza co tydzień notatkę pt.: „Biblioteka Narodowa poszukuje dzieł następujących". Pomysłowe i pożyteczne w zasadzie przedsięwzięcie powinno by jednak opierać się na ścisłych informacjach naukowych i ogłaszać dzieła naprawdę istniejące. Tymczasem w ostatnim numerze (33) ogłoszono pozycję: Lelewel J., Polska, dzieje i rzeczy jej, tomy 14 i 15, które — jak to każdemu bibliografowi winno być wiadome — nigdy nie wyszły, a zarezerwowane były w swoim czasie przez wydawcę, J. K. Żupańskiego, dla Bibliografii ksiąg dwojga. Wystarczyło zajrzeć do Estreichera (t. 21, str. 569—570), by uniknąć tej kompromitującej pomyłki.

Były czytelnik Biblioteki Narodowej

SPROSTOWANIE

Do artykułu Juliusza Kleinera „W czterdziestą rocznicę edycji dzieł Mickiewicza" (nr. 35 (196) „Odrodzenia") wkradły się dwa błędy. W drugiej szpalcie, wiersz 59 zamiast: „w zawartych, bogatych ustępach" powinno być: „w zwartych, bogatych wstępach" i w szpalcie czwartej, wiersz drugi zamiast: „wyznawczyni Emersona i Marriniego" — „wyznawczyni Emersona i Mazziniego".

W poprzednim 36 (197) numerze „Odrodzenia" z dnia 5 września 1948 r.: Rezolucja Światowego Kongresu Intelektualistów we Wrocławiu. — **Ernst Fischer:** O wolność narodów. — **Ilja Erenburg:** Czy kultura zachodnia? — Uczestnicy Kongresu w karykaturze **Jana Lenicy.** — **Janina Konarska:** Przy stole kongresowiczów. — **Jean Marcenac:** Malarstwo francuskie na kongresie wrocławskim (przełożyła **Kalina Wojciechowska**). — Echa kongresu intelektualistów. — **Paul Eluard:** Rachunek do wyrównania (przełożył **Witold Wirpsza**). — **Stanisław Wygodzki:** Rozmowa z Hansem Eislerem. — **Pola Gojawiczyńska:** Zmiany w życiu. — Wrocławski Kongres Intelektualistów w rysunkach **Jerzego Zaruby.** — **Jerzy Putrament:** Lato w Giżycku. — Obrady intelektualistów. — Książki: Proza („Obok zagłady" — Tadeusza Łopalewskiego; „Klucze Bożej Klamentyny" Józefa Mortona). — **kjw:** Kurtyna w Sulejowie. — **Zygmunt Mycielski:** Notatnik muzyczny: „Swantewit" Perkowskiego w wykonaniu zespołu Opery Poznańskiej. — **Zygmunt Kałużyński:** Kronika francuska: Festiwale muzyczne na prowincji. — Korespondencja: **Stanisław Pazurkiewicz:** Od dysproporcji kulturalnych do literatury w Urugwaju. — **Władysław Jerzy Kasiński:** Stolec germańskiego władcy. — Oryginał listu Alberta Einsteina. — Rysunek **Stefana Brzozowskiego.** — Camera obscura. — 8 stron. — 31 ilustracji.

TEATR DOLNOŚLĄSKI



W ubogim na ogół, w ciągu lipca i sierpnia programie teatralnym Wrocławia na plan pierwszy wysunęła się impreza Państwowego Teatru Dolno-śląskiego, który w gotyckiej książęcej sali ratusza wystawił w reżyserii Jerzego Waldena doskonałą interpretację (realistyczną) starofrancuskiej farsy nieznanego autora „Mistrz Piotr Pathelin", w tłumaczeniu Adama Polewki.

Obsadę „Pathelina" stanowią: J. Walden, M. Nochowicz, Z. Karczewski, J. Bukowski, M. Słojkowski i M. Mroczko. Kostiumy projektował J. Szeski.

DROBIAZGI FRANCUSKIE

DUKE ELLINGTON W PARYŻU

W sali Pleyela wystąpił Duke Ellington najwybitniejszy obok Gershwina kompozytor jazzu „artystycznego". Ellington jest reformatorem tego stylu, który początkowo był „nieczysty", składał się z wielu przypadkowych elementów, uważano go za wulgarny, „karczemny", i dlatego pomijany był w podręcznikach muzyki poważnej. Przemieszały się w „jazzie" rozmaite wpływy: pieśni religijne murzyńskie, zawodzące i ekstatyczne; dzika muzyka szczepów afrykańskich, zawleczona przez niewolników do USA; piosenki z operetek amerykańskich, wzorujące się na francuskich, ale bardziej sentymentalne niż kpiarski i rytmiczny Offenbach; melodie hiszpańsko-meksykańskie; wreszcie tańce poszukiwaczy złota z Alaski, możliwie najłatwiejsze, „na rozgrzewkę" (fox-trott — „lisi krok") Jazz stał się prawdziwą muzyką ludu amerykańskiego, niepodobną do europejskiej; charakteryzowały go „synkopy" (nierówności rytmiczne) i krzykliwa, choć sentymentalna melodia. Dopiero Gershwin spróbował pogodzić jazz z muzyką klasyczną, usiłując nowe dźwięki zamknąć w tradycyjne formy: tak powstała sławna „Symfonia błękitna", i „Koncert F-dur", składający się wg. przepisów z trzech części „allegro", „adagio", itd., ale granych przez dziwacznie zgrzytliwą orkiestrę jazzową. Lecz Ellington przeciwstawił się pomysłowi Gershwina: „Jazz ma swój własny rytm, i nie da się pogodzić z zasadami dawnej muzyki". Na tej teorii Ellington opiera swoje kompozycje, jednostajne, rytmiczne, pełne ciepłego sentymentu i „drgające" („thrilling") — jak je nazywają Amerykanie — od bogatej choć dyskretnej instrumentacji. Niestety, w koncercie paryskim Ellington wystąpił jako dyrygent, ale bez sławnej swojej orkiestry, stawianej w rzędzie czterech najlepszych na świecie (obok zespołów W. Whitmana, J. Payne'a, R. Armstronga). Krytyka francuska nie jest zadowolona, gdyż duże znaczenie w jazzie ma wykonanie; wirtuozi na nowych instrumentach (np. na saksofonie) dochodzą do doskonałości rytmicznej, nie dającej się zapisać w nutach, ani powtórzyć przez innego muzyka.

SUKCES GROTESKI „BRANQUIGNOL", CZYLI „A L'AMERICAINE"

W połowie lipca, trzydzieści cztery teatry paryskie zawiesiły przedstawienia na okres dorocznej „Grande Relache" (wielkich wakacji), ale przeszło dwadzieścia scen jest czynnych bez przerwy. Niespodziewany sukces spotkał próbę przeszczepienia na teren francuski amerykańskiej niedorzecznej burleski, groteski, czy parodii rewiowej, — nie ustalono jeszcze europejskiej nazwy dla tego gatunku, zwanego w USA „crazy comedy" (komedia zwariowana). Jest to rodzaj kabaretu, którego „numery" w trakcie wykonania przerywają najbardziej niedorzeczne zdarzenia, rzekomo nieprzewidziane, ale w rzeczywistości starannie wyreżyserowane: więc pijak z loży przeszkadzający aktorom i obrzucający publiczność butelkami z lekkiej masy, niezdolnymi zrobić krzywdy, szaleniec zbiegły z zakładu, zabłąkany „przypadkiem" na salę, i ścigany, poprzez krzesła i kolana siedzących, przez dozorców w białych kitlach, — to znów dyrektor teatru, w przystępie dobrego humoru, otwiera „loterię" i rozlosowuje między zakłopotaną publiczność bryły lodu, żywą gęś itp. przedmioty uciążliwe do trzymania... Sławny film „Helzapoppin", nakręcony według podobnego przepisu, grany jest w Paryżu drugi rok bez przerwy; można tam np. zobaczyć skutki bałaganu w kabinie operatora: pomieszały mu się rozmaite taśmy, i nagle bohaterowie komedii salonowej ubrani w lakierki i białe fraki, znaleźli się na Dzikim Zachodzie, muszą uchodzić przed wściekłą strzelaniną i tratującymi ich Indianami, itd. itd. Francuska wersja „crazy comedy", zmontowana w teatrze La Bruyére przez znanego autora tekstów skeczowych Roberta Dhéry, i zatytułowana „Branquignol", jest subtelniejsza i znacznie mniej „szalona" od pierwowzoru. Wariactwo wyczerpuje się na kilku kawałach: „sztukmistrz" zapowiada ewolucję cyrkową na motocyklu, przygotowaniom towarzyszy efektowna reklama „wyszczekiwana" przez speakera, poczem okazuje się, że motor nie działa; popularna pieśniarka Micheline Daix ma wykonać „romance" z akompaniamentem: ale pianistę, zanim zaczął grać, wyprzedziła orkiestra zza kulis, by więc zabić czas i uspokoić się nerwowo, bezrobotny muzyk wygłupia się niemożliwie, co bynajmniej nie zatrzymuje śpiewaczki kończącej swój „numer". (Niefortunnego akompaniatora gra znany mimik Duvaleix). Poza tymi skromnymi dowcipami, polegającymi stale na wprowadzaniu przeszkody „technicznej" do wykonywanej scenki, „Branquignol" niewiele już ma ze wspaniałej niedorzeczności Amerykanów i okazuje się po poprostu cyklem przyjemnych obrazków muzycznych, pełnych poetyckiego humoru, już zupełnie obcego nowojorskiej grotesce; sukces teatru „La Bruyére" wypadnie więc zapisać na konto snobizmu, albo po prostu — atrakcyjności dobrego kabaretu.

Zygmunt Kałużyński

D E K L A R A C J A

Zgłaszam się na członka Klubu Literackiego „Odrodzenia" i zobowiązuję się do płacenia abonamentu za książki w kwocie zł 1.800 rocznie, płatnych po 150 zł miesięcznie lub po 300 zł co drugi miesiąc lub po 900 zł półrocznie (niepotrzebne skreślić). Moje prawa i obowiązki są mi znane.

Imię i nazwisko ....

Adres ....

(podpis)

Wyciąć, nakleić na kartę pocztową i przesłać pod adresem: Warszawa, Daszyńskiego 14. Klub Literacki „Odrodzenia".

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura"**. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 16**, dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć**, najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł.**, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł 1000 w ubiegłym tygodniu otrzymała Redakcja „Pokolenia" za książkę T. Kordyasza „Zakon miłości".

TADEUSZ KORDYASZ

Zastanawiamy się nieraz nad znaczeniem przyjętego ostatnio, a nawet „upowszechnionego" terminu: „Pisarz katolicki". Kto jest właściwie „pisarzem katolickim"? Czy każdy katolik z chrztu i metryki, czy tylko ten, który swoją twórczością nawraca na katolicyzm siebie i innych, czy też, jak to najczęściej bywa, ludzie piszący byle co o byle czym, a stwierdzający z uporem w oficjalnych enucjacjach, że są pisarzami katolickimi? Wątpliwości nasze rozwiał dopiero ob. Tadeusz Kordyasz swoim dziełem: „Zakon miłości". Oto co o dziele Kordyaszowym pisze wydawca, ob. Irena Ochwanowska, na odwrocie okładki:

„W ostatnich czasach mało spotykamy dzieł religijnych, zdolnych obudzić zaciekawienie wszystkich i trafić do uczuć nowego człowieka. Utwory tego typu przeważnie działają odstraszająco. Niezwykła książka Kordyasza porywa nas, zdumiewa i pociesza. Jeśli znajdują się tacy, którzy mają śmiałość przemawiania w ten sposób, kamyki ogniste widać jeszcze dzisiaj otwierają wargi prorokom. O „Zakonie miłości" trudno jest mówić — jest to bowiem książka, z której można się modlić. Uboga rozmiarami, niby jakaś zapomniana karta Naśladowania, oszałamia bogatą treścią. Na kanwie przejmującego w swej prostocie projektu nowego zakonu wykwitają ognistymi barwy dręczące nas tematy społeczne, odwieczne zagadnienia moralne. Napływają oryginalne rozwiązania. Ewangeliczny język dziwnie łatwo sprzymierza się tu z rytmem płomiennej prozy, filozofia z poezją, mistyka z ukochaniem życia. Pełen dobroci Bóg przybliża się ku nam zadziwiająco, ideał świętości budzi szczerą sympatię, a szalony miłością Człowiek napełnia otuchą".

A oto, co pisze sam autor, Tadeusz Kordyasz:

„Szkoda, że nie jestem literatem. Czy to ja powiedziałem te słowa? Zdumienie mnie ogarnia. Zawsze przecież krzywo patrzyłem na tych obmierzłych zdrajców iskry Bożej, przeżuwaczy młota wieprzów, handlarzy własnym ścierwem, których nędzne kramiki cuchną na setki mil wokoło. Zawsze stroniłem od ich obydnego procederu wkupywania się w łaski burżujów natchnieniem, regulacji narodzin słowa szpaltami łaskawych dzienników. Omijałem z daleka ich kluby. „Zrzeszenie Zawodowych Proroków", „Związki Fachowych Geniuszów" nie pociągały mię ani trochę. A dziś przyszło mi żałować, że nie jestem jednym z nich. To jednak miło być musi czasem zapaść w miękki fotel, jak Pytia w delficki trójnóg i poprzez opary dymu z papierosa wcielać swoje wizje czarodziejskim piórem Waterman, lub Pelikan! Stawiać na papierze czarne znaczki w rytm zegarka, równo, śpiesznie, coraz to nowe i nowe, w znaczkach na zawołanie iskrzą się wspaniałe myśli, przewalają wstrząsające obrazy, drgają uczucia niby żywe. Nie jest to w gruncie rzeczy grzechem. I literatura chyba nie zawsze musi być kobietą, która oddaje się pod każdym drzewem dlatego tylko, że ma genitalia".

Witając obywatela Kordyasza w gronie „pisarzy katolickich", oczekujemy dalszych dowodów na to, że płeć nie przesądza charakteru literatury. Do wszystkich czytelników zawiedzionych katolicką twórczością Kisielewskiego ślemy pełne otuchy: „Sursum Kordyasz!".

EPOKA KAMIENNA

„Trybuna Robotnicza" zamieszcza felieton pióra ob. Marii Wolańskiej. Cytujemy fragment:

Siedzę ja tu kiedyś w jednej restauracji, zamówiłam wątróbkę z cebulką, myślę sobie: „może do licha ta wątróbka nie będzie na wodzie" — i czekam. Za chwilę kelner postawił przede mną talerz. Ach! W tej chwili dopiero odczułam jak jestem głodna. Złapałam za widelec i bez żadnej etykiety poczęłam pakować w usta ciemnobrązowy kawałek wątroby z jakiegoś cielęcia. Kęs nieprzeżuty zatrzymał się w przełyku, czułam to — ale tylko przez sekundę. Po tym łykałam, nie patrząc na nic i łykałam z przejęciem z mlaskaniem i niemal z rozkoszą. Głodna byłam.

Człowiek głodny to tak jak stworzenie z epoki kamiennej. Żre wszystko. Kamienną siekierę by połknął, aby tylko zapchać swój kałdun. Po stokroć przeklęty...

Ludzie epoki kamiennej nie jadali kamiennych siekier i wcale nie „żarli wszystkiego". Jedli wprawdzie skromniej niż my, ale nie czytywali za to felietonów ob. Wolańskiej, co im bardziej niż jadło wychodziło na zdrowie.

ZACZAROWANE KOŁO

Parę tygodni temu zamieściliśmy w „Camera Obscura" cykl ogłoszeń, którymi „chiromantka, profesorka i polonistka" Irena Trzaskowska zasypuje „Życie Lubelskie". Wzmianka nasza pobudziła p. Irenę do wzmożonej akcji. Oto jej przebieg:

RÓŻNE

Wobec paszkwilu „Odrodzenia" Koleżanka Trzaskowska powtarza każdemu badanemu, że odpowiada za to ze swego orzeczenia, co można skontrolować drogą naukową, nie ona więc tumani ludzi, a „Gryzipiórek". Filozof.

1104

RÓŻNE

Odpowiadam „Odrodzeniu". Inteligent pyta, a barbarzyńca rzuca się z drągiem na obiekt zainteresowania. Zaciekawiony postacią Pani Trzaskowskiej autor paszkwilu postąpił jak barbarzyńca.

1222. Zyta.

RÓŻNE

Do znajomych. „Szpilki" w tym samym nr. obraziły Panią Trzaskowską i Kurię Biskupią, a „Odrodzenie" Panią Trzaskowską i Jej spowiednika.

Ludwik Stromiński.

1229

Do Studentki Ireny Trzaskowskiej. „Tumaniącymi ludzi" (jak w „Odrodzeniu") nazywa się dzisiaj wszystkich głoszących Królestwo Ducha. Podaj nam adres. Twój były spowiednik, Ks. Bronisław Księżopolski i Wołyniacy. Chicago. *1228*

RÓŻNE

Postanowiliśmy nie czytywać „Odrodzenia" po jego napaści na Panią Trzaskowską, Wołyniacy — Rodzice uczniów 2-go koml. tajnego liceum zorganizowanego przez Nią podczas okupacji niemieckiej. *1226*

RÓŻNE

Do „Odrodzenia". Niewiara w możliwość materializacji nie upoważnia do obrażania wierzących w nią. Zaczepieni w artykule przeciwko Pani Trzaskowskiej.

1171 Kąkolewscy

RÓŻNE

Ogłaszam „wszem i wobec", że Panią Irenę Trzaskowską szanuję jeszcze więcej, niż przed paszkwilem „Odrodzenia". Wyleczona przez Nią — Włodzimirska, mgr. prawa. *1135*

Łempicki jestem nie Łepicki (od „Łep") Obywatelu Nielebski. Na zaczepkę Odrodzenia w paszkwilu o Pani Trzaskowskiej.

1173 Mgr. Łempicki

Kapłański jest Pani stosunek do ludzi. Do Pani Trzaskowskiej — Inżynier Hryniewicz (Zakopane, Willa „Dafne").

1045

„Dziennikarz"! A nie wie, że naraża swoje czasopismo na konsekwencje prawne, usiłując ośmieszyć szereg osób z wymienieniem nazwisk w „Odrodzeniu" na artykuł przeciw Polonistce Irenie Trzaskowskiej — Włodzimirska mgr. prawa. *1134*

Proszę Redakcję „Odrodzenia" o podanie mi adresu dziennikarza, który śmiał żartować z mego nazwiska w artykule zwróconym przeciwko Trzaskowskiej. Muszę ukarać tego obywatela.

1086 Stanisław Łąka

Jak widzimy, rośnie z każdym dniem tupet „profesorki, polonistki, studentki, chiromantki". Jej ogłoszenia w „Życiu Lubelskim" budzą pożądany dla niej huczek. Felietonista „Sztandaru Ludu" poświęcił nawet „polonistce" felieton pt. „Astralna Irena", gdzie m. i. czytamy:

Potem szukałem w spisie mieszkańców Lublina i okolic Kąkolewskich, Jana Kowalskiego, Stefana Winnickiego i wielu innych. Ale znalazłem tylko... Panią Irenę. Trzaskowską.

W końcu pomyślałem sobie, jak słuszna jest reklama, którą znalazłem poniżej ogłoszeń tego medium literacko-kulinarno - astralnego: „OGŁOSZENIE W ŻYCIU LUBELSKIM TO GWARANCJA POWODZENIA". I słusznie! Bo czyż bez tych ogłoszeń zapoznany uprzednio talent pani Ireny roztoczyłby blaski jej zmaterializowanego nazwiska z łamów „Odrodzenia"?...

POLIP

Prosimy redaktora „Życia Lubelskiego", by kopie następnych ogłoszeń p. Trzaskowskiej, kierował do naszego działu. Usprawni to naszą pracę. Ob. redaktor nie straci klienta w osobie „polonistki", my zyskamy materiał do „Camery", a p. Irena — reklamę.

REDAGUJE ZESPÓŁ. Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, tel. 40.180-90 wewn 22 — Redaktor przyjmuje od g. 9 do 10. — Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 14, tel. 87-112 Konto w PKO nr I-4739

Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł B-57448 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"